

LIST DO KSIĘCIA ZDZISŁAWA LUBOMIRSKIEGO

List Józefa Piłsudskiego, wraz z dwoma załącznikami, wystosowany do członka Rady Regencyjnej ks. Zdzisława Lubomirskiego, opublikowany po raz pierwszy w książce Jana Lipeckiego (Ireny Pannenkowej) p. t. «Legenda Piłsudskiego» i przedrukowany w IV t. «Pism — Mów — Rozkazów», pisany był w Magdeburgu, w lipcu 1918 r. Miał on na celu dostarczenie argumentów Radzie Regencyjnej, która starała się — zresztą bezskutecznie — o zwolnienie Piłsudskiego z więzienia.

Jaśnie Oświecony Książę i Pani!

Już zaraz po ukonstytuowaniu się Rady Regencyjnej i pierwszego ministerium¹⁾ miałem zamiar zwrócić się do Księcia z prośbą o łaskawe zajęcie się moją sprawą. Zdecydowałem się wówczas jednak powstrzymać się od tego kroku, a to dla następujących motywów. Wiedziałem z góry, że Panowie, będąc powołani do obrony interesów ojczyzny, przede wszystkim będziecie mieli do czynienia ze sprawami, nad którymi poprzednio ja pracowałem, a które, niestety, doprowadziły mnie do więzienia. Mianowicie z Radą Stanu, do której miałem nieszczęście należeć, i z Legionami, z którymi — co uważam sobie za zaszczyt — moje imię nierozdzielnie jest związane. Obie te sprawy niezmiernie skomplikowane i za nic w świecie nie chciałem ich Panom komplikować jeszcze bardziej swoją osobą i swymi sprawami. To też postanowiłem czekać, aż obie sprawy o tyle się wyklarują, że moja osoba nie będzie im dodawała niepotrzebnych komplikacyj. Przypuszczałem, że bieg wypadków będzie znacznie szybszy, lecz po wzięciu decyzji postanowiłem w niej wytrwać, chociaż, Bóg widzi, jak trudno mi było wprost moralnie nie zwrócić się o opiekę do pierwszego jako tako zorganizowanego rządu mojej ojczyzny.

¹⁾ Rada Regencyjna utworzona została w dn. 12. IX. 1917 r. Pierwszy gabinet Jana Kucharzewskiego mianowany został przez Radę Regencyjną w dn. 8. XII. 1917 r.

Ze skąpych wiadomości, jakie znajduję w pismach tutejszych, wiem, że obie sprawy, o których mówiłem wyżej, oczekiwały swego ostatecznego rozstrzygnięcia. Rada Stanu, w której ongi zasiadałem, nie istnieje: zamiast niej zebrała się już nowa, która oby miała więcej autorytetu w kraju i na zewnątrz¹⁾. A Legiony zostały rozwiązane i znajdują swój smutny koniec w więzieniach i na ławie oskarżonych, w każdym zaś razie należą już do historii, a nie do czynników, mających wpływ na chwilę bieżącą²⁾.

Wypadki te, według mego zdania, są i dla mnie końcem mojej roli publicznej podczas wojny. Stawią mnie one w szeregu szarych, nieoficjalnych, «prywatnych», że tak powiem, Polaków. Wyznam otwarcie Księżciu, że do tej «prywatności» ogromnie tęsknię, chociażby dlatego, że jedynym znamieniem mojej «oficjalności» jest... więzienie.

Poza tym nie ukrywam wcale, że względy czysto prywatnej natury zmuszają mnie poprostu do tego, bym możliwie dużo czasu poświęcił na uregulowanie zawikłanych stosunków rodzinnych i na prace dla załatwienia zaciągniętych zobowiązań równie prywatnych. W przeciągu wojny przecież zająć się tym nie mogłem, służbę w wojsku pełniłem, prawie nie pobierając pensji, a właśnie podczas wojny stosunki moje prywatne zakwikały się jeszcze bardziej, niż to było przedtem.

Gdy więc osoba moja, specjalnie po zakończeniu sprawy legionowej, pracy rządu polskiego skomplikować już nie może, a istnienie moje, jako prywatnego człowieka, wymaga coraz bardziej mojej pracy, zdecydowałem się zwrócić do Księżcia w celu przyspieszenia rozwiązania mojej sprawy w jakikolwiek sposób.

Zostałem uwieczony rok temu, dn. 22-go lipca. Przy areztowaniu byłem przekonany, że stoi ono w ścisłym związku z jakimiś nieznanymi mi jeszcze zajściami w Legionach. Wobec tego zaś, że sam prosiłem o to, bym mógł dzielić zły czy dobry los tych, których na wojnę wyprowadziłem, nie uważałem za stosowne ani pytać o przyczyny, ani w jakikolwiek sposób protestować przeciwko aktowi.

¹⁾ Piłsudski Tymcz. Radę Stanu nazywa w skrócie Radą Stanu. Tymcz. Rada Stanu podała się do dymisji w dn. 25. VIII. 1917 r., po czym utworzona została w dn. 4. II. 1918 r. Rada Stanu, składająca się ze 110 członków.

²⁾ Po odmowie przysięgi przez pułki b. I i III Brygady, oficerowie i szeregowi, pochodzący z Królestwa Kongresowego, zostali internowani w obozach jeńców (Benjaminów i Szczypiórno), a poddani austriaccy wcieleni do wojska austriackiego i wysłani na front włoski.

Ku wielkiemu memu zdumieniu dowiedziałem się z wypadkowo przeczytanej gazety, że powodem mego uwięzienia jest sfalszowanie dokumentów dla swojej podróży. To samo czytałem w różnych dziennikach przy przewożeniu mnie z więzienia do więzienia z dziwacznymi hipotezami co do celu tego fałszerstwa. Gazeciarskie te wiadomości powoływały się na półurzędowe biuro prasowe w Warszawie. Zwróciłem się natychmiast do exc. von Beselera. Wykazałem w nim wszystkie dokumenty podrózne, których używałem w Warszawie, i przedstawiłem całą nielogiczność podobnego oskarżenia, gdy, jako członek Rady Stanu, miałem prawo do swobodnej podróży, zagwarantowane przez obie władze okupacyjne.

Jako odpowiedź otrzymałem papier, podpisany przez podpułkownika Nothe'go ¹⁾). Papier ten stwierdza niesłuszność poprzedniego oskarżenia i na dowód, że odwołane zostało w ten sam sposób, jak zostało postanowione, — w prasie — załączono mi numer 211 z 3-go sierpnia 1917 r. «Warschauer Zeitung» z artykułem «Zur Verhaftung Pilsudski's» ²⁾). W artykule tym poza odwołaniem poprzedniego oskarżenia, znalazłem nowe publicystyczne wyjaśnienie rzekomej mej winy. Wina ta tym razem związana była z pracą i działalnością P. O. W.

Artykuł ten bardzo jednostronnie przedstawia pracę P. O. W. Zbyt dobrze myślę o informacyjnych zdolnościach wojska niemieckiego, aby te jednostronne, albo nawet wręcz sprzeczne z prawdą gazeciarskie oskarżenie uważać za istotne dla mojej sprawy. Na wszelki wypadek załączam w załączniku nr 2 odpowiedź na powyższy artykuł. Przypuszczam, że było to publicystycznym usprawiedliwieniem faktu mego uwięzienia, odpowiadającym potrzebom danej chwili.

Że tak jest istotnie, dowodzi zresztą treść głównego punktu, który twierdzi, że ta właśnie moja działalność, związana z P. O. W., nie daje się pogodzić ze stanem kraju, znajdującego się na tyłach armii, walczącej ciężko z Rosją. Polska dawno przestała być tyłami armii walczącej, nie wiem, co się z P. O. W. stało, ale wątpię, by mi ktokolwiek mógł przypisać teraz odpowiedzialność za nią, a jednak sprawa moja pozostaje dla mnie jakąś zagadką, której na podstawie wszystkich mi danych rozwiązać nie jestem w stanie.

Nie jestem prawnikiem, a specjalnie praw niemieckich nie znam zupełnie. Jedyne moje zetknięcie z prawami, rządzą-

¹⁾ Ppłk. Nothe, adiutant gen. Beselera.

²⁾ W sprawie aresztowania Pilsudskiego.

cymi więzieniem, odbywało się na tle stosunków politycznych dawnej Rosji, stosunków, które powszechnie są uznane, jako najbardziej średniowieczne. Więc gdy zestawiam wszystko, com przeżył od czasu mego uwięzienia i staram się odgadnąć na tej podstawie przyczyny takiego postępowania ze mną, mierzę je znanymi mi stosunkami rosyjskimi. Dodaję zaś na swoją niekorzyść całą różnicę, jaka istnieje pomiędzy kulturą prawną Niemiec a barbarzyńskiej Rosji.

Bo proszę. Od samego początku aż do tej chwili — więc przez rok cały — jestem skazany na absolutną samotność, wtedy, gdy więzienie celkowe, skazujące na samotność, wszędzie jest uważane jako surowa kara, albo stosowane jako środek prewencyjny przy śledztwie dla uniknięcia szkodliwych dla biegu sprawiedliwości działań oskarżonego w celu usunięcia dowodu winy. W Szlösselburgu, najcięższym więzieniu rosyjskim, więzień już po paru tygodniach miał kolegę, z którym mógł dzielić swój smutny los. Do mnie, powtarzam, ta kara, albo środek prewencyjny, stosowany jest w przeciągu całego roku.

Nie mogę nie widzieć dalej, że w stosunku do mnie zastosowana jest duża doza tajemniczości i starannej izolacji od zetknięcia ze światem zewnętrznym — rzeczy, zwykle spotykane przy tzw. przestępstwach stanu.

Następnie, jeszcze wtedy, gdy dostatecznie nie zgłębił położenia, w którym się znajduje, spowodowany komplikacjami rodzinnymi, zwróciłem się był z podaniem, aby mi dozwolono wyjechać do kraju na kilka tygodni dla uregulowania najpilniejszych potrzeb, ręcząc słowem honoru, że się stawię do rozporządzenia z upłynięciem wyznaczonego terminu. W razie niemożliwości prosiłem o pozwolenie przyjazdu do mnie kogokolwiek z rodziny lub najbliższych przyjaciół dla tegoż celu. Na pierwszą otrzymałem wyraźną odmowę, na drugie niewyraźną, gdyż odpowiedzi nie udzielono. W ten sposób zostałem pozbawiony wielkiej części swych praw cywilnych, czego ciężkie konsekwencje, niestety, nie ja sam ponosić muszę.

Wreszcie nawet listowne komunikacje są obstawione jakimisź nieznanymi mi środkami ostrożności. Niekiedy miesiącami całymi nie otrzymuję ani jednego słowa, a widocznie cenzura jest bardzo pilna, gdy zwyczajna kartka potrzebuje dwóch, często więcej miesięcy, aby przejść przez jej sito.

Powtarzam, nie znam praw niemieckich, lecz gdyby wszystko to spotkało mię w Rosji, powiedziałbym sobie, że jestem oskarżony o poważne przestępstwo stanu. Na podwyższenie tej powagi dodaję, jak mówiłem, całą różnicę pomiędzy

kulturą prawną Niemiec a Rosji. Dodatkowo zaś obciążam swe położenie przez okoliczność, że te nadzwyczajne środki zastosowane są do człowieka, który przez dwa długie lata walczył bok o bok z wojskiem państw centralnych przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi i któremu, gdy zachodziła potrzeba po temu, nie wahano się oddawać pod komendę własne oddziały wojskowe. Gdy biorę pod uwagę wysoko rozwiniętą kulturę wojskową Niemiec z daleko posuniętym poczuciem koleżeństwa broni, czego sam byłem świadkiem i obiektem podczas wojny, nie mogę nie przyjść do przekonania, że tylko nadzwyczajne powody i przyczyny skłaniać mogą do podobnego traktowania swego kolegi wojennego.

Dodam jeszcze, że na jedno z moich pytań, na jakiej podstawie jestem trzymany w więzieniu, otrzymałem odpowiedź, że dzieje się to na podstawie następującego prawa, które tu dosłownie przytaczam.

Abschrift aus dem Verordnungsblatte 1914, Seite 291. Abs. 2.

Die höheren Kommandoführer sind ferner befugt, kraft der ihnen über die feindlichen Untertanen zustehenden Gewalt, diejenigen polizeilichen Massregeln vorzunehmen, welche von ihnen zur Sicherheit der Truppen für erforderlich erachtet werden, zum Beispiel Verhaftung feindlicher Untertanen, Freiheitsentziehung auf bestimmte oder unbestimmte Zeit, Abführung nach dem Innlande usw. ¹⁾

Nie potrafię powiedzieć, jak pogodzić określenie «feindliche Untertanen» ²⁾ z Polską, wzywaną przez publiczny akt obu monarchów do walki ze wspólnym wrogiem, tym mniej potrafię to pogodzić, gdy się to stosuje do mnie, który już dwa lata tę wspólną walkę odbywał i przez tychże monarchów powołany był do spełniania szaczonego urzędu. Ale nawet przypuściwszy, że to nic nie znaczy i że nie straciłem smutnego prawa, a raczej braku praw, byłego rosyjskiego poddanego, to po zawarciu z Rosją pokoju i tak przestałem być «feindlicher Untertan». Powtarzam, nie jestem prawnikiem i nie ośmielę się swych nieprawniczych wątpliwości postawić ponad prawo.

¹⁾ Odpis z Dziennika Rozporządzeń 1914, str. 291, ustęp. 2.

Wyżsi dowódcy są poza tym uprawnieni mocą władzy, przysługującej im w stosunku do poddanych nieprzyjacielskich, do zastosowania tych policyjnych zarządzeń, które przez nich uważane są za potrzebne dla bezpieczeństwa wojsk: na przykład, zaaresztowanie poddanych nieprzyjacielskich, pozbawienie wolności na czas określony lub nieokreślony, odstawienie do wnętrza kraju itd.

²⁾ Poddani nieprzyjacielscy.

Zauważyć jednak muszę, że punkt ten nie daje w żadnym wypadku wytłumaczenia dla trzymania mnie w więzieniu w nadzwyczajny — inaczej tego nazwać nie mogę — sposób, ani tych dodatkowych ciężarów pozbawienia mnie wolności, których jestem obiektem.

Wobec tego wszystkiego badałem sumiennie — miałem czas po temu — całą swoją pracę i działalność podczas wojny, szukając w niej przyczyny dla swego losu. Otwarciem wyznaję, nie znalazłem jej. Pozwolę sobie w załączniku nr 1 przedstawić moją pracę w ciągu wojny. Uważam to za konieczne ze względu, że przy spotkaniach moich z Księciem w Warszawie nigdy tych rzeczy nie poruszał, więc mogę przypuszczać, że oświecenie ich z mojej strony, chociażby dla zasady «*audiatur et altera pars*», przyczynić się może dla wyrobienia obiektywnego o nich sądu. Przytoczę tutaj swe ostateczne wywoły.

Z przedstawienia sprawy, którą tu (w załączniku) podałem, a które najzupełniej jest szczerem, wynika, że przez cały czas wojny, będąc przekonany, że interesa mojej ojczyzny wymagają czynnego wystąpienia po stronie mocarstw centralnych w ich wojnie z Rosją, dawałem temu wyraz w mojej pracy nawet wtedy, gdy byłem pozostawiony własnym siłom i gdy szedłem wbrew opinii ogromnej większości swego narodu, jak to było na początku wojny. Dalej, służąc mojej ojczyźnie jako żołnierz, gdy warunki ograniczały wojsko do kompletowania jedynie za pomocą ochotników, wszystkie swe siły, prace i plany przystosowywałem nie do czego innego, jak do możliwego rozrostu sił wojskowych, nie przypuszczając ani chwili, żeby ta praca stać mogła w sprzeczności z interesami państw centralnych, które zresztą w akcie 5-go listopada wyznaczyły jako główny cel dla stworzonej przez nie Rady Stanu — sformowanie ochotniczego wojska narodowego.

Następnie, byłem i podczas swej służby w Legionach, i w pracy w Radzie Stanu przeciwnym względem metod, stosowanych dla formowania wojska, gdyż, pomijając już wszelkie inne względy, nie osiągnęły one — według mego najgłębszego przekonania — swego celu. Ochotników do wojska nie przyciągały, owszem — odstraszały, a rozdrażnienie, przez nie wprowadzane, psuło dobre stosunki danego państwa do Polski.

Potem we wszystkich wypadkach, gdy następowały momenty kryzysu w wojsku, staraniem moim było zawsze zapobiec ekscesom i ostrym starciom, które wyniknąćby mogły.

W obu swych pracach: w Legionach i w Radzie Stanu zawsze lojalnie i otwarcie, nie robiąc czego innego w oczy, a czego innego za plecami, wypowiadałem swoje zdanie, wy-

czerpując wszystkie zależne ode mnie środki, dla przekonania miarodajnych czynników o konieczności zmiany metody na inną, skuteczniejszą, według mego zdania.

Wreszcie, gdy spostrzegłem, że osoba moja, zamiast pomóc sprawie, tylko jej szkodzić może, usuwałem się na stronę, do życia prywatnego, nie szukając absolutnie niczego z tytułu mych zasług czy pracy.

Wobec tego wszystkiego ani na chwilę przypuszczać nie mogę, aby przyczyną mego uwięzienia, a tym bardziej traktowania mnie w nim ponad przeciętną miarę surowo, mogła być moja otwarta i lojalna krytyka metody formowania wojska, specjalnie w Radzie Stanu, gdzie po prostu obowiązkiem moim było zdania nie ukrywać. Przypuszczenie takie przeczyłoby, zdaniem moim, prostemu uczuciu sprawiedliwości i prawnej kulturze o europejskim poziomie.

Oskarżenia, związanego z P. O. W., powtarzam, na serio traktować nie mogę i zresztą nie daje mi ono klucza do nadzwyczajnych środków, stosowanych do mnie. Oskarżenie kryminalne co do fałszerstwa papierów upadło w tej samej chwili, gdy zostało postawione.

Nic dziwnego, że przyszedłem do przekonania, że prawdopodobnie jestem podejrzany o jakąś zbrodnię stanu, o naturze bardzo ciężkiej, która na razie udowodnić się nie daje. Innego wytłumaczenia nie znajduję.

Gdyby mnie zapytano, o jakie właściwie przestępstwo mogę być podejrzany, odpowiem szczerze i poprostu, że nie mam o tym najmniejszego wyobrażenia. Lecz jeżeli śledcza wyobraźnia, szukająca mojej winy, mogła mi kazać fałszować papiery dla podróży, gdy miałem sobie zagwarantowaną wszelką swobodę ruchu, to nie jest wykluczonym wcale i jakikolwiek inny kierunek tych poszukiwań.

Inaczej tego, co się ze mną dzieje, wytłumaczyć nie mogę. Nie jestem wcale internowany, jak to czytałem w pismach, i jak, zdaje się, wyobraża sobie wielu z moich rodaków. Jestem uwięziony, a warunki, stworzone dla mnie, mówią albo o karze bez sądu, albo o ostrym więzieniu śledczo-prewencyjnym. Wobec tego, gdy się zwracam do Księcia, to proszę przede wszystkim o starania o to, czego najcięższym zbrodniarzom się nie odmawia — o sąd. I podkreślam, nie proszę o żadne ulgi pod tym względem. Wszystko mi jedno, jaki to sąd będzie: polski, austriacki, czy niemiecki; cywilny, wojskowy, czy polowy. Niech raz się dowiem, co popełniłem takiego, że już od roku nie mogę do nikogo przemówić słowa. Niech raz moje ciężkie przewinienia będą sądownie rozpatrzone i niech wre-

szcie na moją winną głowę spadną wyroki najsurowszego — ale prawa.

Będę z niecierpliwością oczekiwał odpowiedzi Księcia i proszę przyjąć zapewnienie głębokiego szacunku, z jakim pozostaję.

Sługa

J. Piłsudski.

Więzienie w Magdeburgu, 22 lipca 1918 r.

ZAŁĄCZNIK NR 1

Przed wojną stałem na czele najlicniejszego odłamu tzw. ruchu strzeleckiego. Podstawowymi zasadami ruchu były: a) dążenie do niepodległości ojczyzny, b) bezpartyjność organizacji, c) obietnica posłuszeństwa rządowi polskiemu, gdy na ziemiach polskich powstanie.

W oczekiwaniu wojny, zastanawiając się nad położeniem Polski, która stać się miała teatrem wojny i której synowie stanąby musieli z bronią w ręku do bratobójczej walki, przyszedłem do przekonania, że interesa mojej ojczyzny wymagają czynnego wystąpienia po stronie mocarstw centralnych w ich wojnie z Rosją. Wobec tego, gdy mi zaproponowano, wszedłem w stosunki ze sztabem cesarskiej i królewskiej armii austro-węgierskiej. W stosunkach tych trzymałem się następujących wytycznych, którym do końca pozostałem wierny. Po pierwsze — żadnej pieniężnej zależności, po drugie — żadnych umów politycznych. Pierwsze jest zupełnie zrozumiałe, była to kwestia honoru ruchu, który reprezentowałem. Drugie wynikało z podstawowych zasad ruchu strzeleckiego, który unikał brania na siebie i swoją odpowiedzialność spraw politycznych, pozostawiając to rządowi swej ojczyzny, umowom tego z innymi rządami i wreszcie nakazom w stosunku do wojska, które z góry zupełnie tym nakazom posłuszeństwo ślubowało. Zadanie swoje na początku wojny uważałem jako postawienie przed narodem kwestii, na którą odpowiedź dać musieli ojcowie, — nie dzieci, zebrane w wojsku.

Za zgodą więc sztabu wyprowadziłem w pole pierwsze oddziały strzeleckie w omówionym kierunku na Kielce. Oddziały strzeleckie, sformowane przeze mnie czy też przez najbliższych mych pomocników, legły jako podstawa dla później- Legionów.

Już w drugiej połowie sierpnia, po uformowaniu się Naczelnego Komitetu Narodowego w Krakowie, wypłynęła kwestia polityczna w postaci przysięgi i jej formuły. Nie mogę ukryć, że kwestia ta od razu groziła ostrym przesileniem. Młodzież strzelecka odnosiła się z głęboką niechęcią do brania na siebie odpowiedzialności politycznej za całą Polskę i rozstrzygnięcia w jej imieniu zawyłych spraw politycznych, związanych z przysięgą. Wszyscy strzelcy przed przysięgą zażądali ode mnie rozkazu, składając na moje barki odpowiedzialność, której bardzo słusznie sami ponosić nie chcieli. Nie będę tu wchodził w motywy mego postępowania, dosyć, że tę odpowiedzialność przyjąłem i rozkaz złożenia przysięgi wydałem.

Ku wielkiemu memu zdumieniu przysięga okazała się podwójną — inną w Krakowie, gdzie były skoncentrowane oddziały, przygotowujące się do wymarszu, inną w Kielcach, gdzie byłem ja z tą częścią strzelców, która zaraz po wybuchu wojny wyszła w pole. W Krakowie składano ogólno-austriacką przysięgę wojskową. My w Kielcach złożyliśmy przysięgę ś. p. cesarzowi Franciszkowi Józefowi, jako królowi polskiemu. Dla ścisłości zaznaczę, że z kieleckiego oddziału rozwinęły się: I Brygada piechoty, 1-szy pułk ułanów i większa część artylerii, poza tym z niego wyszła wielka ilość oficerów i podoficerów w obu innych Brygadach, gdzie kariera okazała się znacznie łatwiejsza, niż w oddziałach, dowodzonych przeze mnie.

Nie będę się zatrzymywał na dwuletniej mojej pracy czysto wojennej, na czele oddziału (brygada piechoty, pułk ułanów i kilka baterij artylerii), który zorganizowałem i prowadziłem samodzielnie bez żadnej pomocy ze strony oficerów cesarskiej i królewskiej armii. Sądzę bez zarumiałości, że nie zrobiłem nigdy wstydu orężowi polskiemu, przeciwnie — zyskałem dla siebie i podwładnego mi oddziału pewną dozę sławy. Pozwolę sobie jedynie z tej dziedziny podkreślić, że gdy teraz jestem traktowany, jako «feindlicher Untertan», wtedy oddawano mi nieraz, gdy tego zachodziła potrzeba, pod komendę w bojach poszczególne części wojsk austriackich, węgierskich i niemieckich.

Przechodzę do tarć wewnętrznych, które były stałym zjawiskiem w życiu Legionów, a które doprowadziły mnie do złożenia swej dymisji. Zatrzymać się muszę na nich dłużej, gdyż motywy moje w tym okresie były dla mnie miarodajnymi i przy pracy w Radzie Stanu, i dla mojej z niej dymisji. Związane one były zawsze z dwoma dziedzinami życia wojskowego — organizacyjną i polityczną. Przy czym zaznaczam od razu, że obie te dziedziny bardzo ściśle się przeplatały, nie dając

się nigdy oddzielić. Odpowiadały one dwom głównym, podstawowym namiętnościom, które doprowadzały młodzież polską do własnowolnej ofiary ze swego życia — wybujałemu, drażliwemu w drobnostkach, nadczułem na dotknięcie i obrazę uczuciu patriotycznemu i równie drażliwej ambicji młodego żołnierza polskiego, zdobywającego własnymi siłami uznanie dla swej wartości w ciężkiej wojnie.

Przed wojną, przygotowując się do pracy, w ciągu kilku lat przestudiowałem prawie wszystkie próby formowania wojsk ochotniczych w ostatnim stuleciu — udane i nieudane. Niestety, tych pierwszych było bardzo mało. Zmierzyłem więc ogromne trudności takiego przedsięwzięcia. Te trudności są tak olbrzymie, że — poza paru entuzjastami — teoretycy kwestii niecierpliwie i z niechęcią machają na nią ręką, jako na sprawę straconą, z góry skazaną na niepowodzenie, klęski i porażki. Wyznaję, że z trwogą przystępowałem do eksperymentu, nie byłem przecie tak młodym i łatwo zapalnym entuzjastą, jak większość moich podkomendnych, i zdawałem sobie jasno sprawę z ujemnych stron, nieodłącznych od improwizowania wojsk ochotniczych. Trudności te dadzą się sprowadzić do następujących głównych punktów:

1) Materiał rekrucki, który najczęściej musi być zorganizowany i uczone prawie pod kulami nieprzyjacielskimi, a w każdym razie w ciągłej możliwości zetknięcia się z nimi.

2) Zupełny brak uregulowanych przez prawo i długie lata pokojowe wewnętrznych stosunków służbowych.

3) Kapryśność każdego materiału ochotniczego, której następstwem jest swoistość dyscypliny wojskowej, która cechuje wszystkie formacje ochotnicze. Stąd niezwykła łatwość demoralizacji przy niepowodzeniach i odwrotnie, przy powodzeniach wzrost wygórowanej i drażliwej ambicji żołnierskiej. I jedno, i drugie wytwarza warunki, przy których opanowanie podwładnych przez wyższych i niższych dowódców należy do zadań niezwykle trudnych.

Wszystkie te warunki z niezwykłą łatwością wytwarzają u żołnierzy przekonanie o swej niższości w porównaniu z nieprzyjacielem lub, co jest jeszcze gorsze, predysponują one niejako podobne formacje do wewnętrznego nieporządku, zaniku dyscypliny i zaufania wzajemnego pomiędzy dowództwem i żołnierzami, podmywają jakby główny filar, na którym stać musi każda budowa wojskowa — bezsprzeczny autorytet przełożonego w stosunku do swego podwładnego.

Specjalnie dla naszych warunków obciążającym dodatkiem były: a) zmienność charakteru narodowego u Polaków,

b) prawdopodobna niższość uzbrojenia i wyekwipowania technicznego w porównaniu z nieprzyjacielem i c) brak wyszkolenia praktycznego nawet wśród tych, co mieli się stać kadrowym materiałem dla następnych rekrutów.

Przyszli i obecni krytycy mojej pracy znajdują i znajdują prawdopodobnie wiele do zarzucenia memu postępowaniu i, naturalnie, nie jest ono bez «ale». Niechybnym jednak faktem jest, że dzięki systemowi, który zastosowałem w tych niesłychanie ciężkich warunkach, zdołałem opanować o tyle ten kapryśny materiał, że zyskałem u swych podwładnych nie tylko znane powszechnie gorące przywiązanie i miłość, lecz i zupełne zaufanie wraz z absolutnym posłuszeństwem dla siebie i dla każdego przełożonego, postawionego przeze mnie. Rzecz ta dotąd napawa mnie dumą i wzrusza serce, gdy myślę o tym, tym bardziej, gdy nie miałem w swym rozporządzeniu żadnych środków dla przywiązania do siebie ludzi za pomocą łatwej kariery albo materialnego dobrobytu — te środki zawsze były w ręku u przeciwników mego systemu.

Nie będę zatrzymywał się nad szczegółami systemu, wybranego zupełnie świadomie przeze mnie. Ogólnikowo jedynie zaznaczę, że opierałem się w nim na przemożnych namiętnościach, które skłaniały ochotników do własnowolnego oddawania swego życia do rozporządzenia, — na drażliwym, jak już zaznaczyłem, patriotyzmie i na ambicji stania się własnymi siłami dobrym żołnierzem. Staralem się te silne u legionistów uczucia przekuć na wartości ogólno-żołnierskie: odwagę i spokój w boju, sumienność w spełnianiu obowiązków, dyscyplinę w wewnętrznych stosunkach i posłuszeństwo przełożonym.

Lecz nie dosyć jest wybrnąć z trudnej sytuacji i przetwarzać ochotników na wojsko, zdadne do użycia w walce z nieprzyjacielem. Trzeba umieć je stale uzupełniać, a nawet, gdy się chce utrzymać namiętności ochotnicze w napięciu, zapewnić takiemu wojsku rozwój. Jednym słowem, trzeba umieć ściągnąć do wojska możliwie wielką ilość ochotników. Zadanie to ściśle jest związane ze stroną polityczną wojska, a pod tym względem Legiony były zupełną anomalią.

Każde wojsko służy celom politycznym swojej ojczyzny, każde zaś ma za sobą wyobraziciela tej polityki, wyobraziciela, któremu jest posłusznym. Tym wyobrazicielem jest rząd, tak czy inaczej zorganizowany. W ten jedynie sposób wojsko oswobodzone jest od zajmowania się polityką, rujnąjącą podstawę istnienia każdego wojska — dyscyplinę i duch posłuszeństwa przełożonym. My — Legiony — pod tym właśnie politycznym względem, powtarzam, byliśmy zupełną anomalią. Żołnierz bez

ojczyzny, wojsko bez rządu — oto w krótkich słowach charakterystyka położenia Legionów.

Jestem dalekim, gdy to piszę, od zarzutu w stosunku do Austrii, że te anormalne warunki dla nas nie zostały od razu usunięte. Przeciwnie, osobiście — a przypuszczam i ogromna większość legionistów — jestem głęboko wdzięczny przede wszystkim ś. p. cesarzowi Franciszkowi Józefowi i jego rządowi za próbę polskiego życia wojskowego, jaką mieliśmy w postaci Legionów, a która to próba bez jego łaskawego zezwolenia i poparcia powstałaby nie mogła. Twierdzę tylko, że metody, zastosowane do wojska pod względem politycznym, były tego rodzaju, że wojsko skazywały na tarcia wewnętrzne, a zarazem pozbawiały go nadziei rozwoju. I w tym wypadku nie idzie mi o krytykę czy zarzuty, broń Boże. Wierzę, że zarządy wojskowe i cywilne miały po temu swoje poważne racje, zmuszające do poświęcenia spokoju wewnętrznego i ładu w Legionach oraz ich rozwoju na rzecz innych interesów, niechybnym jednak jest, że dla samych Legionów konsekwencje tych metod były przykre i smutne.

Pod względem politycznym nie ułatwiał wcale sytuacji legionowej krakowski Komitet Narodowy. Nie wchodzę wcale w ocenę tej instytucji, twierdzę, że sam fakt, iż nie miała ona żadnych praw w stosunku do wojska i nic z życia wewnętrznego w wojsku do niej nie należało, czynił z niej instytucję dla wojska mgławicową. Niechybnym zaś faktem jest również, że Naczelny Komitet Narodowy w wojsku był zupełnie niepopularny. W lepszym wypadku był dla niego czymś w rodzaju filantropijnej instytucji, w gorszym — machinacją poszczególnych partij politycznych Galicji, stworzoną świadomie dla przykrycia smutnej prawdy. Osobiście starałem się w wojsku utrzymać znaczenie N. K. N., jako jedyne surogatu reprezentacji politycznej wojska i mogę zapewnić, że nie łatwo mi to przychodziło, pomimo wielkiego autorytetu, jaki posiadałem w wojsku. Lecz jeszcze przed końcem 1914 r. rozporządzenia władz austriackich pozbawiły do reszty N. K. N. nadziei na rozwój jego autorytetu. Nastąpił bowiem zakaz dla Galicjan wstępowania do Legionów; odtąd Legiony miały opierać swe istnienie i rozwój jedynie na przyływie ochotników z zaboru rosyjskiego.

Każdy z Galicjan, jako poddany austriacki, obowiązany był zarówno do niesienia ofiary ze swej krwi podczas wojny, jak i do innych wysiłków, potrzebnych państwu w ciężkiej próbie wojennej. Legiony więc, jako forma polska tej ofiary i wysiłków, była, że tak powiem, przywilejem Galicjan, łaskawie im

przez monarchę nadanym, i N. K. N., jako przedstawiciel tego przywileju polskiego w Austrii, mógł liczyć na to, że autorytet jego i powaga wraz z rozwojem Legionów wzrastać będzie. Lecz dla zaboru rosyjskiego rzecz się miała akurat odwrotnie. Udział w Legionach tutaj nie był żadnym przywilejem, zastępującym obowiązkową służbę na rzecz państwa rosyjskiego z oczekiwaniem znanych skutków takiego postępowania — kary i zemsty. Jeżeli więc, dopóki całe przedsięwzięcie legionowe opierało się na Galicji, lekka odpowiedzialność za przywileje łatwo leżała na barkach N. K. N., to z przeniesieniem bazy do Królestwa nie można było oczekiwać, aby ciężka odpowiedzialność za możliwe kary i zemstę choć cokolwiek szerzej została uznana w Królestwie, jako przynależna instytucji N. K. N. Ten nie wystarczał najzupełniej w tym wypadku, nawet jako surogat instytucji politycznej i prowadzącej politykę, za którą żołnierze krew swoją i cudzą przelewają.

Jeszcze gorszym sposobem załatwienia sprawy był udział w sprawach politycznych Komendy Legionów i wybranych przez nią podkomendnych. Nie wchodząc najzupełniej w krytykę czy to osób, czy instytucji, śmiem twierdzić, że dziewięć dziesiątych tarć wewnętrznych, niezadowolnień i przykrości życiowych w życiu legionowym zostałyby usunięte, gdyby komendanci Legionów i ich sztab ograniczył się jedynie wojskową pracą i nie robił prób mieszania się do polityki.

Powtarzam raz jeszcze — nie idzie mi o krytykę, czy jakiegokolwiek zarzuty, czy pretensje w stosunku do kogokolwiek. Stwierdzam tylko, że system, obrany w stosunku do Legionów, szedł często nawet w drobnostkach przeciwko dwu zasadniczym namiętnościom wśród polskiej młodzieży wszelkich stanów, z pomiędzy której jedynie można było rekrutować ochotników. Przeciwko nadczułemu patriotyzmowi i przeciwko ambicji ochotniczego żołnierza, który własnymi siłami chciał zdobyć uznanie i szacunek dla polskiego oręża. Gdy zaś Legiony miały już wyłącznie oprzeć się na Królestwie, system ten z góry skazywał wszelkie próby rozwoju na niepowodzenie, a wojsko zatem — na brak przyszłości i beznadziejność położenia.

Z początku wydawało mi się, że system ten opiera się na nieporozumieniu i niedostatecznej informacji o istotnym stanie rzeczy. Dlatego też zupełnie lojalnie, nie ukrywając swego zdania, starałem się o zmianę. W rozmowach, które prowadziłem z referentem dla spraw legionowych przy głównej kwaterze armii austro-węgierskiej, płk. Hranilowiczem, w listach do niego, w listownych i ustnych komunikacjach z prof. Jaworskim, prezesem Naczelnego Komitetu Narodowego, przed-

stawiałem rzecz tak, jak ją rozumiałem, wskazywałem na prawdopodobne konsekwencje systemu, prosząc o jego zmianę. Jako dowód przedstawiałem względne powodzenie mego systemu, który stwarzał wojsko, mające siłę atrakcyjną dla ochotników. Lecz, niestety, starania moje były bezskuteczne. Zyskałem, zdaje się, jedynie to, że teraz z łatwością przypisywano mi winę niepopularności tych czy innych zarządzeń i osób tam, gdzie ta niepopularność zależała od rzeczy samej i nie była skutkiem jakichkolwiek moich wpływów. A niepopularność ta wzrastała z dniem każdym, tak, że po półrocznym istnieniu wątpię, aby w Legionach można było znaleźć człowieka, który z systemu obowiązującego był zadowolony, jeszcze zaś mniej można było liczyć na rozwój wojska. Utrzymywała mnie jedynie nadzieja, że system się zmieni na lepsze. Wyznaję otwarcie, że po wszystkich moich lojalnych próbach zmiany panującego systemu, przestałem należeć do liczby tych, którzy się cieszyli tą zwodną nadzieją. Przyszedłem do przekonania, że państwo austriacko-węgierskie nie chce, czy też nie może systemu swego zmienić, że interesy i potrzeby, sprzeciwiające się zmianie, są zbyt wielkie, a interesy i potrzeby, związane z rozwojem Legionów, zbyt małe, aby dla optymistycznej nadziei była dostateczna podstawa, a wobec tego położenie moje w Legionach staowało się niesłychanie ciężkim i trudnym do zniesienia.

Jak już zaznaczyłem, lojalna i otwarta moja próba zmiany systemu, zrobiona przed płk. Hranilowiczem i prez. Jaworskim, doprowadziła do tego, że zaczęto często przypisywać mi winę niepopularności zarządzeń w stosunku do Legionów. Obok tego popularność mego imienia zaczęła wzrastać silnie w Galicji i w Polsce, a jako skutek tej popularności z jednej strony, z drugiej zaś mego milczenia, naturalnego u oficera w czynnej służbie, było stałe nadużywanie mego imienia dla potwierdzenia poszczególnych poglądów, wypowiedzianych w licznych w owe czasy dyskusjach nad Legionami. Wszystko to razem doprowadziło w prędkim czasie do tego, iż spostrzec musiałem, iż należę do oficerów, mających złą markę u władzy. Gdyby to szło o mnie jedynie, byłoby to mniejsze: spełniałem swoje obowiązki wojenne tak, że najczęściej otrzymywałem pochwały, kariery wojskowej nie miałem na myśli. Lecz, niestety, odbijało się to wszystko na moich podkomendnych, na ich losie i na podwyższaniu dla nich ilości przykrości życiowych. A przecież nie mogłem zapomnieć, że jedynie swoim rozkazem wyprowadziłem ich w pole, i ciężko czułem odpowiedzialność za ich los i położenie. Tym bardziej, gdy wi-

działem, że niezadowolenie z losu wśród nich wzrasta, a przekonanie o beznadziejności pod względem rozwoju utrwalac się zaczyna. Byłem pod ciężarem podwójnej odpowiedzialności, doprowadzającej często do ciężkich kolizji uczuć, sumienia i honoru. Nie mając zaś żadnej władzy po temu, nie mogłem nawet łagodzić tej kolizji ani ułatwić sobie choćby w mniejszych sprawach niesienie odpowiedzialności. Smiało powiem, że ta podwójna odpowiedzialność ze wszystkimi jej następstwami była przekleństwem mego życia podczas wojny. Już wówczas odczuwałem konieczność wyjścia z tej fałszywej sytuacji. Ostatecznie zdecydowałem to uczynić w drugiej połowie 1915 r. po zajęciu przez państwa centralne całego Królestwa.

Po przemarszu przez większą część Królestwa w pościgu za cofającymi się Rosjanami miałem jeszcze okazję krótkiego pobytu w Warszawie. Przekonałem się naocznie o słuszności mego poglądu na sprawę i o beznadziejności zdobycia liczniejszego ochotnika przy istniejącym systemie. Byłem też przeświadczony, że teraz właśnie ferment polityczny w wojsku zbierać zaczyna gwałtownie.

Dla zilustrowania głębokiej różnicy położenia przed sierpniem 1915 r. i po nim, pozwolę sobie zestawić te dwa okresy z życia legionowego.

Koniec 1914 r., jak wiadomo, był okresem najmniej szczęśliwym dla oręża Niemiec i Austrii w ich wojnie z Rosją. Dla sprawy zaś polskiej w związku z tymi państwami był po prostu zabójczym. Cała prawie Galicja była zajęta przez Rosjan, w Królestwie, z wyjątkiem drobnych skrawków zachodnich, nie było ani śladu żołnierza niemieckiego czy austriackiego. Właśnie wtedy — w listopadzie — przedarłem się ostatnim tchem do Krakowa, do którego bram pukała petersburska gwardia. Nie było tam ani śladu tego ożywienia politycznego, którego świadkami byliśmy w początku wojny. Całą politykę wymiół stamtąd strach i zwątpienie. Zresztą, olbrzymiej większości Polaków wydawało się pewnym, że kwestie polityczne, których wojskowym wyobrazicielem były Legiony, były na zawsze pogrzebane. Dodam zaś do tego, że wówczas byliśmy źle uzbrojeni i bardzo lichy, powiem — żebraczy wyekwipowani. Ani jednego karabinu maszynowego, przestarzałe armatki z dymnym prochem, ani jednej kuchni polowej, co przy długich marszach, odbywanych wspólnie z innym wojskiem, oznaczało, że żołnierz albo musiał być przemęczony, albo na pół głodny, bez ciepłej odzieży przy wzrastającym zimnie, w podartym obuwiu przy jesiennym błocie lub ostrej gołoledzi. Nieraz wtedy, przejeżdżając koło moich batalionów,

gdy słyshałem stały głuchy kaszel, rozdzierający piersi, gdy widziałem w oczach i na policzkach u przemęczonych żołnierzy gorączkę, myślałem, że się nadają oni bardziej do szpitala, niż do boju. I doprawdy, śmiem zapewnić, że gdybym wówczas pod wpływem ogólnego zwątpienia politycznego, w ten właśnie — szpitalny — sposób postawił koniec zarówno pracy swojej, jak i żołnierzy, w najostrzejszym sądzie odpowiednich rzeczoznawców znalazłbym uznanie i poparcie. Lecz właśnie z tymi na wpół chorymi, źle ubranymi, lichy wyekwipowanymi żołnierzami wziąłem wówczas udział — nie bez sławy — w ciężkich walkach pod Limanową, zakończonych u schyłku roku dwudniowym bojem pod Łowczówkiem, gdzie oddział w krwawych stratach złożył ofiarę w 40% swego składu.

Rozumowałem wówczas w sposób następujący: nadzieje polityczne zgasły, a wojska, po których stronie walczyliśmy, znajdują się w nieszczęściu. Pozostaje więc prawdopodobnie tylko honorowy koniec eksperymentu polityczno-wojskowego, tzn. — do końca wypełnić musimy własnowolnie wzięty na siebie obowiązek, wypływający z honoru żołnierza polskiego i koleżeństwa broni. I odczuwałem doskonale, że w tym rozumowaniu mam za sobą uczucia moich podwładnych. Żołnierz polski, zgodnie ze swoją tradycją, obdarty, pół głodny, bosi i źle uzbrojony, ginął na straconym posterunku w imię swego honoru i w imię wierności, płynącej z obowiązku nieopuszczania kolegów broni, znajdujących się w nieszczęściu.

Całkiem inaczej wyglądała sprawa w drugiej połowie 1915 r. Rosja była pobita, całe Królestwo wraz z Warszawą oswobodzone od wojska i rządów rosyjskich. A wraz z tym wszystkie wątpliwości polityczne, nierozstrzygnięte kwestie, zapytania bez odpowiedzi, jednym słowem — wszystkie komplikacje polityczne, związane z kwestią polską i Legionami, stawały na porządku dziennym. Teraz żadna siła w świecie nie mogła zatrzymać pytań ze strony rodziców, przyjaciół czy znajomych żołnierzy i werbowanych rekrutów: «o co właściwie wy się bijecie?» Żadne wykrety nie pomogą, gdy padnie zapytanie: «kto was, dzieci, upoważnił, abyście swymi przysięgami wojskowymi dysponowali nie tylko swoją krwią, która do kraju należy, ale i polityką kraju — zawierali sojusze czy oddawali w poddaństwo». I jeszcze, gdyby cała impreza mogła liczyć na powodzenie. Powodzenie tyle rzeczy tłumaczy, tyle uprawnia. Lecz system, zastosowany do Legionów, z góry skazywał imprezę na niepowodzenie i porażkę.

Nauczony dotychczasowym doświadczeniem, wiedziałem, że odpowiedzialność moja, a raczej kolizja różnych odpowie-

działności, zaostrzy się dla mnie niesłuchanie. Zdecydowałem usunąć się. Wygrywałem w ten sposób nie tylko wyjście z fałszywego położenia, a więc spokój sumienia i honoru, lecz może i zwiększenie szans na zmianę systemu. Nie łatwą mi była ta decyzja. Głęboko przywiązany do pracy i do swych podwładnych i kolegów broni, odczuwałem, mówiąc szczerze, tragicznie ruinę własnowolną przyszłości żołnierskiej w wojsku polskim — rzeczy, wymarzonej i ukochanej od dzieciństwa. Przy wszelkim jednak rozumowaniu dochodziłem do tego samego wniosku: konieczność złożenia dymisji.

Niestety, wtedy — we wrześniu 1915 r. — nie mogłem wykonać swej decyzji. Przy pierwszej próbie wysondowania opinii wojska — w tym celu badałem wszystkich starszych oficerów — przyszedłem do przekonania, że usunięcie się moje wstrząśnie tak silnie moralnie wojsko, iż następstwem istniejącego już rozdrażnienia muszą być ekscesy, których znowu za wszelką cenę chciałem uniknąć. Wobec tego postanowiłem dymisję odłożyć i starać się odzwyczajać wojsko od wiązania zbyt silnie swego losu z moim.

Tak minął rok; w ciągu tego czasu wszystkie moje przypuszczenia zdały się sprawdzić najzupełniej. Królestwo nie uznało za swoje Legionów, postawionych prawnie i organizacyjnie tak, jak były one postawione. Pozostały one dla kraju czymś egzotycznym. Rozpaczliwe wysiłki tej części Legionów, której przywilejem było uprawianie polityki, mianowicie — aparatu werbunkowego, doprowadziły do tego, że stawał się on coraz bardziej niepopularnym i zyskiwał przykrą dla stosunków Królestwa sławę roboty policyjno-politycznej. Zgodnie z tym położeniem ochotnicy, zgłaszający się do Legionów, byli bardzo nieliczni, tak, że jednostki taktyczne nigdy nie mogły pokrywać swych strat. Gorzej jeszcze — jakościowa wartość tych ochotników była bardzo niska. Zaledwie mała część odpowiadała względniej wysokiej przeciętnej, jaka w Legionach wyrobiła się dla «morale» żołnierza, jego zapału, przywiązania do sztandaru i jego honoru. Większość była to zbieranina o bardzo niskim poziomie i prawem w Legionach stał się fakt, że z nadejściem uzupełnienia trzeba było wprowadzać środki ostrożności, jakich dawniej nie znano, gdyż wówczas następowały dezercje do nieprzyjaciela i wzrastały się okropnie kradzieże wśród kolegów broni. Wreszcie beznadziejność sytuacji i odgłosy życia w Królestwie wprowadziły w życie legionowe silny ferment niezadowolenia. Tarcia wszelkiego rodzaju mnożyły się niepomiarownie. Wszystko to razem doprowadziło do tego, że starsi oficerowie legionowi podali w czer-

wcu 1916 r. memoriał¹⁾), w którym prosili o gruntowną zmianę systemu, prosząc w razie niemożliwości o rozwiązanie zupełne Legionów.

W tej sytuacji wiedziałem z poprzedniego mego doświadczenia, że dla mnie kolizja sprzecznych odpowiedzialności zaostrzy się silniej, niż kiedykolwiek. Zdecydowałem więc tym razem wykonać swój zamiar złożenia dymisji. Przeczekałem ciężkie boje nad Styrem i Stochodem, gdyż bałem się, aby moje podanie się do dymisji nie wpłynęło na zachowanie się żołnierzy podczas boju, i skorzystałem z pierwszej okazji, jaka się nadarzyła w stałych służbowych tarcjach, by wnieść podanie o dymisję.

W liście do płk. Hranilowicza, referenta spraw legionowych przy głównej kwaterze c. k. armii, wyjaśniłem, że powód, na który się powołuję w oficjalnym podaniu, jest tylko pretekstem, ułatwiającym danie mi dymisji, nawet z uznaniem mnie, jako winnego. Natomiast istotnymi przyczynami są: a) fałszywa sytuacja, w której się znajduję oddawna, niosąc wobec anormalnych stosunków prawnych dla Legionów podwójną odpowiedzialność, b) niemożliwość przy istniejących stosunkach nie tylko zharmonizowania sprzecznych odpowiedzialności, lecz nawet ich łagodzenia, c) zupełna beznadziejność położenia Legionów przy dotychczasowym systemie. Wreszcie, będąc wezwany do głównej kwatery, w rozmowie osobistej z tymże pułkownikiem przedstawiłem jako jedną z głównych konieczności dla dalszego rozwoju Legionów — reprezentację polityczną Królestwa z nadaniem jej pewnego «quantum» praw w stosunku do wojska, formowanego już wyłączenie z ochotników tego kraju. Na zapytanie zaś, czy zdaniem moim byłaby wystarczającą reprezentacją jedynie okupacji austriackiej, odpowiedziałem, że w Królestwie i tak silnymi są podejrzania o chęć zrobienia nowego podziału Polski, taka więc instytucja byłaby pośrednim tych podejrzeń potwierdzeniem i z tego powodu nie przyczyniłaby się wcale do rozwoju Legionów. W końcu września otrzymałem dymisję, zredagowaną w słowach bardzo pochlebnych dla mojej pracy wojennej.

Wyznaję otwarcie, że pomimo ciężkiego żalu z powodu zerwania związku z kolegami broni, pierwszy raz odetchnąłem swobodniej. Nie czułem na sobie całego ciężaru komplikacji, w które los i praca moja mnie wtrąciły.

Dodam tu od razu, że silne wzburzenie i masowe szuka-

¹⁾ Mowa o memoriale Rady Pułkowników, wysłanym w dn. 30. VIII. 1916 r.

nie wyjścia z Legionów po mojej dymisji przypisuję nie faktowi samej dymisji, lecz pobocznym krokom, które zostały uczynione w Legionach w związku z moją dymisją¹⁾. Mówię tu o ostrym połamaniu wszystkich jednostek, które złączyła tradycja wspólnych bojów i trudów wojennych oraz prawie przymusowa dymisja, udzielona memu zastępcy, płk. Sosnkowskiemu. Przy podnieconym stanie legionistów środki te, zastosowane z surową bezwzględnością, uważane były jako niezasłużona kara, zaaplikowana natychmiast po ciężkich bojach z wielkimi stratami, gdzie Legiony otrzymały publiczne — we wszystkich oficjalnych sprawozdaniach — podziękowanie i uznanie za waleczność i «ofiarnie poświęcenie się w trudnej sytuacji».

Chcę tu jeszcze raz podkreślić, że nie idzie mi tutaj o żadną krytykę, ani o wyrażanie jakiegokolwiek pretensji, przekonany bowiem jestem, że istniały poważne racje po temu, aby poświęcić interesa i rozwój tak małej części wojska, jakim były Legiony. Przedstawiłem tylko zupełnie szczerze i otwarcie moją w nich pracę i moją w nich rolę.

Po mojej dymisji, osobiście przy wzburzeniu w Legionach, uważałem siebie jako «persona ingrata» i zdecydowałem zająć się swymi prywatnymi sprawami, usuwając się, o ile możliwości, od spraw publicznych. Jedynym moim wystąpieniem była odpowiedź na publicznie do mnie zwrócony list prof. Jaworskiego. Poza tym wystosowałem po 5 listopada list do pułk. Rydza, napisany pod wrażeniem aktu 5 listopada. Prosiłem go, by zechciał w moim imieniu zachęcić oficerów i żołnierzy w Legionach do spokoju i ufności. List nie był wcale przeznaczony do publicznego użytku i miał charakter całkiem poufny. Odczytanie go więc publicznie w Warszawie przez ppłk. Berbeckiego odbyło się bez mojej ingerencji, a wbrew moim chęciom i zamiarom.

Ku wielkiemu memu zdumieniu w połowie listopada otrzymałem zaproszenie ekscelencji Kuka, gen.-gub. w Lublinie.

W rozmowie ekscelencja Kuk zawiadomił mnie o swoim zamiarze przedstawienia mnie rządowi państw okupacyjnych jako członka przyszłej Rady Stanu Królestwa Polskiego, którego zadaniem miało być pomiędzy innymi sformowanie ochotniczej armii narodowej. Odpowiedziałem, że żyjąc przez cały

¹⁾ Po dymisji Piłsudskiego dawna I Brygada, składająca się z 1 i 5 pułku, została podzielona. Według nowej organizacji I Brygada miała się składać z 1 i 2 pułku, II — z 3 i 4, III — z 5 i 6.

czas wojny z dala od Warszawy i nie mając bezpośredniego stosunku z ludźmi, zajmującymi się polityką, trudno mi osądzić wpływ aktu 5 listopada na Polskę, a bez takiej oceny trudno zdobyć się na odpowiedź na zaszczytną propozycję.

Otrzymałem wówczas pozwolenie na wyjazd do Warszawy. Wszystkie umysły były tam zajęte przyszłą instytucją Rady Stanu i jej składem osobistym. Zrobiłem i ja swoją próbę pod tym względem. Sądziłem, że najlepiej dla Rady Stanu będzie, gdy będą w niej reprezentowane wszystkie stronnictwa; sądziłem, że tylko taka miałaby dostateczną powagę dla kraju i na zewnątrz i taka łagodziłaby sprzeczności i kolizje stronnictwa, zamiast je roznamiętniać. Dla mnie samego, wobec tego, że nie wiązałem siebie od samego początku wojny z żadnym stronnictwem, myślałem o roli usuniętego od spraw politycznych doradcy w sprawach wojskowych, które, niestety, tak długo i tak skutecznie dla umysłów polskich były obcymi.

Prowadziłem w tym celu pertraktacje ze wszystkimi stronnictwami i, jak wiadomo, pertraktacje te nie powiodły się. Klub międzypartyjny, reprezentujący dobrą połowę kraju, usunął się i został usunięty od formacji Rady Stanu ¹⁾. Zawahałem się wówczas w decyzji i dla siebie samego, usunąłem się od pertraktacji i ze sporów przy układaniu listy przyszłych radców stanu i wyjechałem z powrotem do Krakowa.

Na swoje nieszczęście — gdyż za nieszczęście i błąd uważałem swój udział w Radzie Stanu — po namyśle postanowiłem wyrazić zgodę na zaszczytną propozycję ekscelencji Kuka. Miarodajnymi były wówczas dla mnie dwa motywy. Pierwszy — główny — była to chęć przysłużenia się w sprawie formowania wojska. Znając kraj, wiedziałem, że moje usunięcie się wpłynie bardzo ujemnie na ilość zgłaszających się ochotników. Drugi — poboczny motyw — była to obawa, abym po swojej dymisji i usunięciu się od Rady Stanu po nieudanych pertraktacjach z klubem międzypartyjnym, nie zaczął uchodzić, jako zaprzeczający swej niedawnej przeszłości, w której byłem pierwszym podnoszącym hasło samodzielnego i czynnego wystąpienia Polski po stronie mocarstw centrych w ich wojnie z Rosją.

Pomijając motyw drugi, jako poboczny i nie mający, o ile mi się zdaje, żadnego znaczenia w mojej sprawie, chcę się zatrzymać na pierwszym, gdyż był on rozstrzygającym zawsze

¹⁾ Mowa o Kole Międzypartyjnym, łączącym organizacje polityczne t. zw. passywistyczne, narodowo-demokratyczne lub pozostające pod wpływem Narodowej Demokracji.

w mojej pracy w Radzie Stanu. Byłem wtedy optymistycznie usposobiony co do możliwości rozwoju ochotniczego wojska w Polsce.

Wydawało mi się rzeczą jasną, że kto chce formować ochotnicze wojsko, musi dopasować się do tych uczuć, które skłaniają ludzi do wstąpienia do wojska z własnej i nieprzymuszonej woli, czy to są pieniądze i błyszczące mundury, gdy idzie o wojsko najemne, czy też jakakolwiek namiętność polityczna lub żądza sławy, zadowolenie ambicji itp. uczucia. Dla młodzieży polskiej — czy to w Legionach, czy poza nimi — miarodajnymi były dwa uczucie, jak to już wskazałem wyżej. Silny i drażliwy patriotyzm oraz silnie rozwinięta ambicja żołnierza polskiego, własnymi siłami zdobywającego sobie uznanie w otoczeniu. Zdawało mi się więc logicznym przypuszczać, że teraz, gdy publicznie, na cały świat, ogłoszono o chęci formowania ochotniczego wojska narodowego i miano za sobą dwa lata próby, nieudanej z powodu niedostosowania się do tych zasadniczych namiętności — że teraz muszą nastąpić zmiany na lepsze.

Byłem również dostatecznie odczytany w odpowiedniej literaturze fachowej, aby zdawać sobie dokładnie sprawę z głębokich uprzedzeń, jakie istnieją wśród oficerów fachowych w stosunku do wszelkich formacji ochotniczych z ich swoistymi formami bytu i organizacji. Wiedziałem za doświadczenia, że te uprzedzenia stanowią nieraz poważną przeszkodę dla rozwoju wojska, gdy ono skazane jest na ochotnicze uzupełnienie i rozwój. Lecz i w tym wypadku sądziłem optymistycznie o przyszłości wobec uroczystości ogłoszonego zamiaru formowania właśnie ochotniczego wojska. Oprócz tego sądziłem, że z chwilą, gdy po akcie 5 listopada los Polski, jako państwa, zdawał się ustalać, ochotnicze wojsko jest uważane, tak, jak je zawsze uważałem, za objaw przejściowy, że zatem wszystkie urządzenia z nim związane, nie mają charakteru stałego, obowiązującego i na czasy pokojowe, a więc i uprzedzenia w stosunku do nich mogą być wysunięte.

Rada Stanu, co prawda, nie była rządem polskim, bo pod tym względem nie dzieliłem wcale iluzji większości moich kolegów z Rady Stanu i przypuszczałem z góry, że fakt ten przyczyni się do popularności instytucji dla spraw werbunku ochotników. Lecz znowu przypuszczałem, że prawa tej instytucji w stosunku do wojska, specjalnie w zakresie werbunku, będą o całe niebo wyższe od praw Naczelnego Komitetu Narodowego. A zarazem znałem dobrze usposobienie wśród legionistów i młodzieży polskiej. Tęsknota do nakazu ze strony rządu

polskiego, była tam tak wielka, że czerwoni radykalni przysięgaliby na absolutne posłuszeństwo absolutnemu monarsze polskiemu, a odwrotnie — zacięci rojaliści spieszyliby wykazać także posłuszeństwo rządowi skrajnie republikańskiemu. W tych warunkach, przypuszczałem, młodzież nie będzie analizowała kwestii prawniczych, byleby związek wojska z instytucją Rady Stanu był wyraźny, a to wydawało mi się pewnym.

Wreszcie jako ostateczny argument na korzyść swego optymizmu brałem wyniki swych rozmów z obu panami — ekscelencją von Beselerem i ekscelencją Kukiem — którzy, jako generał-gubernatorowie obu okupacji, mieli przemożny wpływ na sprawy polskie. Byłem zaszczycony rozmową z obu wysokimi panami, obu też podałem krótkie memoriały w sprawie wojska, gdzie — jak zwykle — podkreśliłem konieczność, według mego zdania, liczenia się z nastrojami w narodzie tak nastrojowym, jakim są Polacy.

Ani chwili nie przypuszczałem, aby powody, które mnie skłoniły do dymisji, mogły być nieznanne obu wysokim panom. A wobec tego wyciągnięto mię bez mojej po temu prośby z zaciśza, do którego się był usunął, i wobec tego, że żaden z tych dygnitarzy, w rozmowach ze mną nie raczył ani słowem mnie ostrzec, że sprawy wojskowe mogą w przyszłości być załatwiane w ten sam sposób, jak dotąd w stosunku do Legionów, mogłem, być może naiwnie, nie być pesymistą co do zmian, które jedynie według mego głębokiego przekonania decydowały o udaniu się werbunku ochotników.

Zaznaczam od razu, że nie wyrażam w ten sposób żalu do nikogo. Naturalnie, obaj wysocy dygnitarze mieli prawo, nawet może obowiązek, pominąć wszelkie moje pretensje do odsłonięcia rąbka zasłony tajemniczej, otaczającej przyszłość. Pretensja taka byłaby nawet śmieszna z mojej strony. Idzie mi tylko o to, by stwierdzić fakt, który mi pozwalał przypuszczać, że zamiary obu panów w stosunku do wojska zasadniczo nie są dalekie od moich optymistycznych nadziei. Wreszcie zaznaczam, że gdybym choć słowem był uprzedzony, że system w stosunku do wojska ulegnie zmianie, nie wahałbym się usunąć od udziału w Radzie Stanu, gdyż byłbym przekonany, że zadania, postawione Radzie Stanu, sformowania ochotniczego wojska narodowego — nie dają się wykonać.

Plan pracy, który wówczas miałem dla przedstawienia go Radzie Stanu i władzom okupacyjnym, zapewniał, zdaniem moim, powodzenie rekrutacji. Polegał on na tym, by odpowiednio rozkwaterować Legiony w kraju i otworzyć rekrutację wprost do batalionów, baterij i szwadronów z pominię-

ciem zupełnym specjalnej organizacji werbunkowej, nadzwyczajnie niepopularnej w kraju, a specjalnie wśród tych, na których przede wszystkim liczyć trzeba było. Wojsko, odbywające ćwiczenia, pełniące służbę na oczach wszystkich, zawsze jest pociągającym dla dużej części młodzieży. Gdy zaś to wojsko jest tak wesołym i towarzyskim, jakimi były Legiony, i gdy ma za sobą świeżą tradycję chwalebnych dla niego bojów, siła atrakcyjna znacznie się zwiększa. To swoje przeświadczenie opierałem na doświadczeniach z pracy organizatorskiej ze strzelcami przed wojną i z udanych prób rekrutacji, które podczas wojną tą właśnie metodą prowadziłem w Kieleckim i Lubelskim. Następnie sądziłem, że pierwszy krok powinien polegać na rozwinięciu istniejących jednostek legionowych w wyższe za pomocą wyłącznie materiału kadrowego Legionów, co by odpowiadało silnej ambicji żołnierskiej, a zarazem usunęłyby przy pierwszych krokach wiele z podejrzeń i motywów, powstrzymujących, wobec braku odpowiedniego materiału, powołania oficerów i podoficerów z armii niemieckiej i austriackiej tylko wtedy, gdy nastrój pod wpływem pierwszych udanych kroków o tyle się wzmocni, że już wytrzyma ten niewątpliwie niepopularny wśród ludności środek. Plan ten omawiałem i w memoriałach, które podałem, i w dłuższej rozmowie, którą w tych sprawach miałem z ppłk. von Bülowem, przedstawicielem cesarskiej armii niemieckiej w Lublinie.

Po ukonstytuowaniu się Rady Stanu bardzo prędko przekonałem się, że sprawa rozwoju Legionów wcale nie jest tak prosta, jak ja sobie wyobrażałem. Widocznym było, że co do Legionów państwa okupacyjne nie są jeszcze pomiędzy sobą w zgodzie, zamknięto nawet do nich dopływ nowych ochotników. Tym bardziej więc nie były one w stanie rozporządzalnym dla Rady Stanu. Jedyłą częścią ich, która zdawała się być swobodną od niewiadomości swego losu i która miała widoczną «carte blanche»¹⁾ do ostentacyjnego poddawania się Radzie Stanu, była to część, która z powodu zawodowego uprawiania polityki w kraju właściwie wojskiem nie była wcale. Lecz ta część — aparat werbunkowy — właśnie była nadzwyczajnie niepopularną i obciążała z góry swoją służbą rachunek powodzenia akcji werbunkowej wielkimi minusami. W każdym razie o moim planie, który, według mego zdania, zapewniał powodzenie, mowy być nie mogło i zamiast żywej pracy, trzeba było w Radzie Stanu tworzyć papierowe projekty.

¹⁾ Carte blanche — dosłownie: biała karta czyli nieograniczone pełnomocnictwo.

W Radzie Stanu zostałem wybrany do Wydziału Wykonawczego, gdzie mi został poruczony referat przy specjalnie skonstruowanej Komisji Wojskowej, której pierwszym zadaniem było przedstawienie projektu co do kompetencji Rady Stanu w sprawach wojskowych i co do sposobu rekrutacji ochotników. Co do mnie, reprezentowałem kierunek, żądający rozgraniczenia spraw ściśle wojskowych (organizacji, nauki, uzbrojenia i wyekwipowania) od samej rekrutacji, z oddaniem pierwszych w ręce odpowiednich komend i odwrotnie — drugich w ręce cywilne Rady Stanu i jej organów. Motywy moje były następujące. Z chwilą, gdy — jak widziałem — położenie prawne Legionów nie upoważnia wcale do użycia ich bezpośrednio dla celów rekrutacji, sądziłem, że dla powodzenia akcji należy użyć tego, co mogło być najpopularniejszym i co wzbudzałoby najmniej podejrzeń u uprzedzonych, mianowicie — instytucji cywilnych polskich. Ogromna większość moich kolegów z Komisji Wojskowej była innego zdania. Dążyła ona w swych projektach do przetworzenia Komisji w coś w rodzaju ministerium wojny z różnymi funkcjami administracyjnymi, traktując werbunek tylko jako część pracy tego ministerium. Odnosząc się z natury rzeczy z gorącą sympatią do prób organizacji rządu polskiego, pomimo, iż dla danych warunków nie podzielałem iluzji moich kolegów co do możliwości praktycznego urzeczywistnienia wszystkich ich projektów, nie mogłem zasadniczo większości się opierać. Liczyłem, że praktyczna dyskusja wykreśli granice w przyszłości, i dla przyspieszenia sprawy ustąpiłem, zdecydowany lojalnie reprezentować projekt wszędzie, gdzie to będzie wskazane. Projekt został przez plenum Rady przyjęty i oddany obu komisarzom państw centralnych.

Do dyskusji żadnej nad tym projektem nie przyszło. Jak wiadomo, po dłuższym czasie został on potraktowany «per non est» i otrzymaliśmy rozstrzygnięcie sprawy, które nie uwzględniało ani zasad, ani szczegółów projektu. System, jaki ustanowiono, był jota w jotę jednakowy z dotychczasowym systemem legionowym. Nawet niepopularna organizacja werbunkowa została na miejscu w tej samej roli. Udział Rady Stanu w pracy nad formowaniem wojska został sprowadzony do zera, gdyż wprowadzenie do komisji kwaterunkowych przedstawicieli miejscowego społeczeństwa bez żadnego zresztą wpływu na rzecz samą, nie zmieniło w niczym istoty rzeczy — usunięcia jedynej instytucji polskiej od związku i wpływu na wojsko narodowe. Druga zmiana, zmiana mody austriackiej (uniformów, ćwiczeń, instruktorów, personelu administracyjnego) na

niemiecką, naturalnie nie oznaczała zmiany systemu. Dodała ona pewne minusy w postaci języka niemieckiego, niezrozumiałego dla ludzi, oraz powrotu do tych czasów, gdy wszystko, co było władzą w wojsku, nawet zewnętrznie było czymś zupełnie odrębnym od wszystkich podwładnych, wprowadzonych w ten sposób do roli mniej więcej kolonialnego wojska, w którym kolor skóry rozstrzyga o przywileju władzy. W Legionach niegdyś wywoływało to silne tarcia i niezadowolonia i wreszcie przy przemianowaniu Legionów na korpus pomocniczy polski zostało szczęśliwie zaniechane.

Po tym rozstrzygnięciu było dla mnie zupełnie jasnym, że w tych warunkach akcja werbunkowa udać się nie może. Zupełnie szczerze i otwarcie wypowiedziałem to w Radzie Stanu i podkreśliłem swoje zdanie przez wstrzymanie się od podania głosu przy głosowaniu nad wydaniem odezwy werbunkowej, podając przy tym zupełnie oficjalnie jako motyw prawdopodobną bezskuteczność odezwy. Zazaczyłem przy tym, że z chwilą wydania odezwy będę uważał za swój obowiązek temu wezwaniu być posłusznym i do wojska się zamelduję, zgłaszając zarazem swoją dymisję z Rady Stanu.

Położenie, które dla udania się akcji werbunkowej tak pesymistycznie oceniałem, obciążone było dodatkowo silnym podnieceniem w kraju całym z powodu kwestii rządu polskiego. Muszę się na niej zatrzymać dlatego, że konsekwencją tej kwestii była jedyna sprawa polityczna, w której brałem udział w ciągu mej pracy w Radzie Stanu. Mówię tu o podaniu się do dymisji Rady Stanu.

Od samego początku swego istnienia Rada Stanu kwestię rządu polskiego wniosła na porządek dzienny wszystkich rozpraw politycznych w kraju. Uznając siebie za związek tego rządu, Rada Stanu konsekwentnie dążyła do rozwoju każdego z poszczególnych działów swej pracy w ministeria z całym zakresem ich praw i obowiązków. I trzeba przyznać, że o ile przy zawiązywaniu się Rady Stanu stanowisko względem niej w opinii kraju było bardzo wyczekujące, to te właśnie jej starania czyniły z niej instytucję, rosnącą w popularność i uznanie narodowe. Niestety jednak, te starania napotkały opór ze strony władz okupacyjnych. Kwestia sama zaczęła przybierać charakter jakiejś przewlekłej choroby samej instytucji, a wraz z tym stanowisko Rady Stanu w opinii kraju spadać zaczęło szybko i gwałtownie. W ostatnich miesiącach mego pobytu w Radzie Stanu byłem świadkiem zjawisk, które każdy tylko jako zjawiska rozkładu instytucji charakteryzować może. Rada Stanu to zamykała swe biura, to znowu je otwierała, zawieszała swe

posiedzenia na miesiące. Całą treścią licznych poufnych posiedzeń było rozstrzygnięcie kwestii — być albo nie być. Z natury rzeczy ten stan prostracji duchowej wzmagał jeszcze bardziej niepopularność instytucji, czyniąc zarazem pobyt w niej dla każdego czynnego człowieka trudnym psychicznie do wytrzymania.

W kwestii bytu albo niebytu Rady Stanu — jedynej, powtarzam, politycznej sprawie, w której brałem udział — rozumowałem w sposób następujący: pochodziliśmy nie z wyboru, lecz mianowania. Mieliliśmy więc podwójne zobowiązanie. Przebieg wypadków doprowadził nas do tego, że nikt z nas i naszych czynności — nie wyłączając nas samych — nie jest zadowolony. Jest mi wszystko jedno, czy z naszej, czy czyjej winy to się stało. Faktem jest, że nie spełniamy tej roli, jakiej po nas oczekiwano. Przyczyną tego niezaprzeczenie przykrego dla nas zjawiska być może albo zła zasada, na której instytucja jest zbudowana, albo też nasza do niej niezdatność. Naturalnym więc wyjściem jest podanie się do dymisji, co pozwala swobodnie albo zmienić istotę instytucji, albo też zastąpić nas zdatniejszymi ludźmi. Jak ta sprawa ostatecznie przez Radę Stanu została rozstrzygnięta — nie wiem, lecz wiem — powtarzam — była to jedyna polityczna kwestia, którą się zajmowałem podczas mego pobytu w Warszawie i doprawdy wątpię, by najdrażliwszy sędzia znalazł w tym dowód winy przed którymkolwiek z państw centralnych.

W stosunku zresztą do siebie osobiście całą tę kwestię uważałem za całkiem akademicką. Była ona z góry rozstrzygnięta, gdy decyzja w sprawach wojskowych zapadła w całkiem przeciwnym kierunku, niż projekt Rady Stanu. Nie miałem właściwie w niej żadnej pracy; wstąpiłem do niej jedynie dla roboty nad formowaniem wojska, ten zaś dział został zupełnie z kompetencji Rady Stanu usunięty. Do wszelkiej zaś pracy politycznej uważałem siebie za niezdatnego i nie chciałem się do niej mieszać. Wreszcie zapowiedziałem już swoje usunięcie się, gdy po wydaniu odezwy werbunkowej zgłoszę się do wojska, gdyż pomimo protestów niektórych mych kolegów uważałem za niemożliwe łączenie służby wojskowej z radcostwem stanu, jako pracą o charakterze wybitnie politycznym. Zgłoszenie się zaś do wojska uważałem za konieczne, gdyż to był już jedyny — bardzo zresztą słaby — sposób przyczynienia się do rozwoju wojska, jaki mi został pozostawiony.

Istotnie zgłosiłem się do szefa sztabu przy generał-gubernatorstwie warszawskim, ppłk. Nothe. Prosiłem go, aby eks-celencji von Beselerowi, jako komendantowi wojska, zameldo-

wał, że z chwilą wydania odezwy werbunkowej zgłaszam się do wojska, zgodnie z zapowiedzą, którą złożyłem w Radzie Stanu. Ppłk. Nothe odpowiedział mi, że to zrobi, wątpi jednak, o skutku, gdyż przy tym stadium rozwoju wojska, z jakim się ma do czynienia, nie ma właściwie w nim odpowiedniego dla mnie miejsca. Przez parę tygodni czekałem na odpowiedź, innej nie otrzymałem, więc i ta ostatnia droga pracy dla wojska została mi zamknięta.

Z tej odmowy, jak również z tego, co się działo dokoła — kilkakrotny zakaz zgromadzeń na prowincji, na które byłem zaproszony, aresztowania wśród młodzieży, zbliżonej do mnie — zrozumiałem, że eksc. von Beseler w swym systemie formowania wojska życzy sobie oprzeć pracę wyłącznie na wpływach i metodach dotychczasowego aparatu werbunkowego dla Legionów, mój zaś w tym udział uważany jest za zbyt znaczny, nawet za szkodliwy. Powtarzam raz jeszcze — byłem najmocniej przekonany o tym, że i tym razem próba ściągnięcia ochotników do wojska przy tym systemie udać się nie może. Wszystkie moje próby przyczynienia się do rozwoju wojska spotkały się z odmową, nawet wtedy, gdy usuwałem swoją osobę z czynnego wpływu, jak to zrobiłem, zgłaszając się sam do wojska. Zdecydowałem się więc usunąć do prywatnego życia i wyjechać na razie na wieś dla odpoczynku i leczenia swych starych dolegliwości.

Po zgłoszeniu swej dymisji zostałem w Warszawie jedynie dlatego, by lojalnie przedstawić raz jeszcze swoje zdanie w sprawach wojskowych eksc. von Beselerowi i dlatego, by doczekać rozstrzygnięcia spraw w Legionach, które przybierały charakter ostry z powodu przysięgi.

Znając Legiony, wiedziałem, że nie wytrzymają one dalszej próby życia wojskowego, niezależnego od życia kraju, za który życie i krew dawali. Gdy więc znowu swą przysięgą sami w całym kraju mieli zatwierdzić formę bytu państwowego (przysięga na przyszłego króla), sami w całym kraju zawierać mieli sojusze polityczne (wierność wojskom państw centralnych) i czynić to nie z nakazu swych ojców albo przedstawicieli kraju, lecz z własnej nieprzymuszonej woli, bo takim przecie jest akt przysięgi w wojsku ochotniczym — nie mogłem przypuszczać, ażeby akt przysięgi gładko przeszedł. Podkreślam raz jeszcze niezaprzeczony dla mnie fakt, że wśród legionistów, jak i w ogóle wśród młodzieży polskiej w tym czasie, nie szło nigdy o żadne określone formy życia politycznego, ani o żadne sympatie, czy antypatie narodowe. Szło jedynie

o to, by być wojskiem i być posłusznym przedstawicielom swojej ojczyzny.

Powtórzę tu swoje słowa z mego memoriału do eksc. von Beselera. Nawet Rada Stanu, pomimo, że wtedy nie miała ona ani powagi, ani popularności, byłaby wystarczającym surrogatem rządu i jestem przekonany, że nikt w Legionach nie zawahałby się złożyć jej przysięgę na posłuszeństwo, pozostawiając zupełnie jej odpowiedzialności i sojusze, i formy ustroju państwowego w Polsce.

Nie ukrywałem wcale moich obaw, związanych z oczekiwanym aktem przysięgi, i na pytanie w tej mierze, skierowane do mnie przez kolegów w Radzie Stanu, lojalnie swe pesymistyczne przypuszczenia wypowiadałem. Obawiałem się jeszcze bardziej, aby rozdrażnienie nie przybrało charakteru ostrego, nie licującego z powagą chwili i z honorem wojska. Osobiście więc przy wszystkich spotkaniach z mymi byłymi podwładnymi używałem wszystkich swoich wpływów, aby wszelkim ekscesom zapobiec. Tę trudną i ze wszech miar przykrą pracę uważałem jako swój ostatni obowiązek względem sztandaru, pod którym spędziłem dwa długie lata wojny. Sytuacja była niezmiernie drażliwa, gdyż ogromna część oficerów i żołnierzy posunięta była do rozpaczki z powodu ruiny wszystkich swoich nadziei. Dodatkowo na zwiększenie rozdrażnienia wpływała ta okoliczność, że duża część legionistów — mianowicie Galicjanie — z natury rzeczy solidarnymi ze swymi kolegami broni być nie mogli, solidarność zaś, jak u wszystkich, w twardych i nieszczęśliwych dla siebie warunkach wychowanych ludzi, była zawsze wśród legionistów bardzo silna.

Do końca więc nie byłem pewien przebiegu sprawy. Byłem zdecydowany prosić władzę, abym mógł dzielić los swych byłych podwładnych, których ongi wyprowadziłem własnym rozkazem na wojnę, w razie zająć w Legionach, któreby pociągały za sobą ciężkie dla żołnierzy skutki. I wtedy bowiem, byłem przekonany, mój pobyt z nimi przyczyniłby się do utrzymania spokoju i godności żołnierskiej, a zarazem dałby im moralną ulgę w znoszeniu ciężaru losu.

Taką właśnie prośbą zakończyłem swój memoriał do eksc. von Beselera. Nie zdążyłem go wręczyć z powodu swego aresztowania. Lecz o chęci lojalnego zakończenia swego udziału w Radzie Stanu i szczerego wypowiedzenia swego zdania mówiłem na kilka dni przed uwięzieniem hr. Hutten-Czapskiemu, komisarzowi niemieckiemu przy Radzie Stanu, któremu też zakomunikowałem ogólną treść swego pisma. Zgodnie z jego radą dałem memoriał do przetłumaczenia na język niemiecki swemu

przyjacielowi, drowi Sokolnickiemu. W tym stadium sprawy zostałem 22-go lipca aresztowany.

Z przedstawienia sprawy, które tu podałem, a które najzupełniej jest szczere, wynika, że będąc przekonanym, że interesy mojej ojczyzny wymagają czynnego wystąpienia Polski i po stronie mocarstw centralnych w ich wojnie z Rosją, dawałem temu wyraz w mojej pracy, nawet wtedy, gdy byłem pozostawiony własnym swym siłom i gdy szedłem wbrew opinii większości swego narodu, — jak to było na początku wojny.

Dalej służąc mojej ojczyźnie jako żołnierz, gdy warunki ograniczały wojsko do kompletowania się jedynie za pomocą ochotników, wszystkie swe siły, prace i plany przystosowałem nie do czego innego, jak jeno do możliwego rozrostu sił wojskowych. Nie przypuszczałem ani chwili, żeby praca, tak pojęta, stać mogła w sprzeczności z interesami państw centralnych, specjalnie, gdy one w akcie 5-go listopada jako główny cel dla stworzonej przez siebie Rady Stanu wyznaczyły formowanie ochotniczej armii narodowej.

Następnie, i podczas swej służby w Legionach, i w Radzie Stanu byłem przeciwnym metodom, stosowanym dla formowania wojska, gdyż, pomijając wszelkie inne względy, nie osiągały one, według mego najgłębszego przekonania, swego celu — ochotników do wojska nie przyciągały, owszem — odstraszały, a przez rozdrażnienie, wprowadzane przez nie, psuły dobre stosunki danego państwa do Polski.

Potem, we wszystkich wypadkach, gdy następowały momenty głębszych kryzysów w wojsku, staraniem moim było zawsze zapobiec ekscesom i ostrym starciom, które wynikałyby mogły.

W obu swych pracach — w Legionach i w Radzie Stanu — zawsze lojalnie i otwarcie, nie robiąc co innego w oczy, a co innego za plecami, wypowiadałem swoje zdanie, wyczerpując wszystkie zależne ode mnie środki dla przekonania miarodajnych czynników o konieczności zmiany metody na inną, skuteczniejszą — według mego zdania.

Nareszcie, gdy spostrzegłem, że osoba moja zamiast pomóc sprawie, tylko jej szkodzić może, usuwałem się na stronę do życia prywatnego, nie szukając absolutnie niczego z tytułu mojej pracy czy zasługi.

J. Piłsudski.

Więzienie w Magdeburgu, 25-go lipca 1918 r.

ZAŁĄCZNIK NR 2

W SPRAWIE POLSKIEJ ORGANIZACJI WOJSKOWEJ

Odpowiedź na artykuł «Zur Verhaftung Pilsudski's» w Nr 211
«Warschauer Zeitung» z dn. 3-go sierpnia 1917 r.

Przed wojną w Królestwie istniały tajne stowarzyszenia młodzieży wszelkich stanów jako filie centrali galicyjskich towarzystw strzeleckich. Rozsiane one były po całym kraju i w uniwersyteckich miastach Rosji. Wybuch wojny z natury rzeczy zdeorganizował je w wielkim stopniu, a już zupełnie zerwał ich związek z tą częścią strzelców, która pod moją komendą wyruszyła 6-go sierpnia na wojnę z Rosją. Dla nawiązania na nowo kontaktu i ściągnięcia do swych szeregów większej ilości ochotników wydelegowałem w początku wojny do Warszawy jednego ze swych adiutantów, por. Tadeusza Żulińskiego. Żuliński, synowiec powieszonoego w 1863 r. członka ówczesnego rządu narodowego, Traugutta, został jesienią 1915 r. zabity w bojach, które miała moja Brygada na Wołyniu.

Żuliński był założycielem organizacji, którą ochrzcił jako Polską Organizację Wojskową, stąd w skróceniu zwaną P. O. W.¹⁾ i był jej kierownikiem aż do zajęcia Warszawy przez wojska niemieckie. Co do swej treści — była ona dokładną kopią organizacji strzeleckich, których uczniem we Lwowie był Żuliński. Tak samo, jak w stowarzyszeniach strzeleckich, młodzież nie dzieliła się na partie i stronnictwa, organizacja bowiem pozostawiała każdemu ze swych członków zupełną swobodę przekonań politycznych. Jedyną zasadą, wiążącą wszystkich, była obietnica posłuszeństwa rządowi polskiemu, gdy ten na ziemiach polskich powstanie. Poza tym obowiązywała wszystkich praca przygotowawcza do służby wojskowej i to było właściwą treścią całego życia organizacji.

Poza tym organizacja dostarczała mi dane o wojsku rosyjskim, naturalnie, odsyłane przeze mnie do odpowiednich sztabów, i zrobiła kilka prób psucia komunikacji na tyłach

¹⁾ Pilsudski, pisząc powyższe pismo, nie znał szczegółów założenia P. O. W. Nazwę Polska Organizacja Wojskowa nadał połączonym w jedną organizację Związkowi Strzeleckiemu i Polskim Drużynom Adam Koc, oficer Związku Strzeleckiego, którego początek wojny zastał w Warszawie.

armii rosyjskiej¹⁾. Prace te, naturalnie, świadczą wyraźnie o froncie antyrosyjskim podczas wojny.

Od razu zaznaczę, że wspólnie z galicyjskimi strzelcami zasada służby posłusznej rządowi polskiemu w organizacji P. O. W. była znacznie silniejsza, niż w organizacjach galicyjskich. Charakterystycznymi były dla mnie dwa wypadki podczas wojny. Pierwszy spotkał mię w Radomiu. Organizacje strzeleckie przed wojną były tam względnie silne i dlatego byłem pewien znacznego przyływu ochotników, gdy jesienią 1914 r. w marszu pod Dęblin trafił do Radomia. Spotkał mnie silny zawód: z organizacji nie znalazłem ani śladu, prawie wszystko usunęło się z Radomia i okolic razem z cofającymi się Rosjanami. Przy dochodzeniach okazało się, że na początku wojny z niecierpliwością oczekiwano nadejścia strzelców, potem zaś, gdy rozpowszechniono pogłoskę, że strzelcy gwałtem zostali wcieleni do wojska austriackiego, to wystarczyło, aby zmienić całkiem nastrój.

Inny charakterystyczny fakt świadczył o tym samym. Mianowicie, ogromna większość organizacji Żulińskiego w Warszawie i okolicach odmówiła wstąpienia do Legionów, gdy się dowiedziała, że będą składać przysięgę ogólnoaustriacką. Ta zaś część, która wraz z Żulińskim do Legionów poszła, stawiała jako warunek wejście w skład mojej Brygady, gdyż ta składała przysięgę cesarzowi Franciszkowi Józefowi jako królowi polskiemu. Żadne wpływy nawet moje osobiste — byłem podówczas w Warszawie — zmienić tego postanowienia nie były w stanie.

Wówczas — w Warszawie — powstała dla mnie kwestia dalszego mego stosunku do organizacji. Po namyśle zdecydowałem się dopomóc do dalszego jej rozwoju, a to dla następujących motywów:

1) miałem nadzieję, że bieg wypadków doprowadzi do zmiany stosunków względem Legionów i pozwoli na szybkie formowanie wojska po usunięciu dotychczasowych przeszkód;

2) wiedziałem, że w ogóle Polska po klęsce 1863 r. straciła zamiłowanie do wojska, stawszy się krajem nie tylko niemilitarnym, lecz antimilitarnym tak, że przy innych, najlepszych nawet warunkach, formowanie wojska ochotniczego wobec tego nie będzie łatwym. Przygotowawcze więc studia, budzące zamiłowanie do ćwiczeń i rozwijające chęć wstąpienia do wojska, wydawały mi się niezbędnymi i pożądanymi.

¹⁾ Ważniejsze akcje lotnego oddziału P. O. W. odbyły się pod Grodziskiem, Tłuszczem, Brześciem i Białą Siedlecką, gdzie wysadzone zostały mosty kolejowe.

Opierałem się pod tym względem na doświadczeniach z organizacjami strzeleckimi w Galicji, które właśnie do tego celu dały wyniki doskonałe;

3) nie chciałem w tych burzliwych czasach zostawiać najgorętszą część młodzieży polskiej bez nadziei, że jej aspiracje wojskowe nie będą urzeczywistnione w ścisłym związku z rozwojem Legionów.

Organizacja rozwijała się bardzo dobrze. Gdy wszedłem do Rady Stanu, liczyła mniej więcej około 12 tysięcy członków. Dodać do tego trzeba tych, którzy organizację opuścili z powodu zakończenia możliwego w danej miejscowości cyklu wykładów i ćwiczeń i którzy mogli być pociągnięci przez przykład kolegów ćwiczących. Liczba takich wynosić mogła do 10 tysięcy.

Co do typu organizacji i pracy w niej, P. O. W. po odpadnięciu pracy wojennej z okresu Żulińskiego w niczym się nie różniła od organizacji strzeleckich. Każdy mógł zostać jej członkiem i każdy, gdy chciał, mógł opuścić jej szeregi. Praktycznie wiązały ludzi ćwiczenia i szkolne zajęcia teoretyczne. Stąd tam, gdzie szczęśliwe okoliczności dozwalały na regularną pracę szkolną, organizacja była ściślejszą, gdzie zaś to było niemożliwe — luźniejszą. Podstawowe zasady organizacji pozostały te same: a) bezpartyjność i b) obowiązek oddania swych sił rządowi polskiemu, gdy ten będzie zorganizowany. Natomiast stosunek do Legionów zmienił się znacznie na korzyść. Był nie tylko sympatyzujący i koleżeński, lecz pod wpływem instruktorów, z tych samych Legionów pochodzących, zaczęto je uważać za zawiązek wojska polskiego i wdychano do chwili, gdy takim wojskiem prawnie się staną i otworzą w ten sposób swe szeregi dla całej organizacji P. O. W.

Natomiast bardzo krytycznym i wprost niechętnym był stosunek do organizacji werbunkowej Legionów. Zarzucano jej nadzwyczajnie niepopularną w Polsce służbę policyjno-polityczną. Przypisywano jej denuncjacom poszczególne wypadki aresztowań, wreszcie odmawiano jej szacunku, jaki miano dla Legionów, gdyż olbrzymia większość ludzi, wyznaczonych do werbunku, otrzymywała szybkie awansy i nagrody nie za wojenną pracę na polu bitwy, lecz — jak twierdzono — przy pracy, wzbudzającej pewne podejrzenie w ogóle, a odrazę u górętszych.

Dodam do tego, że stosunek władz okupacyjnych do organizacji w ciągu roku — od zajęcia Królestwa do zwołania Rady Stanu — nie był jednolity ani w czasie, ani w przestrzeni. Przeważnie tolerancyjny, zaostrzał się niekiedy czy to dla pewnych okresów, czy też dla poszczególnych miejscowości. Przeważnie jednak organizacja, o której wszyscy w Polsce wie-

dzieli, nie wyłączając władz okupacyjnych, rozwijała się bez przeszkód ze strony oficjalnej.

Osobisty mój stosunek do organizacji w tym całym okresie był następujący: przede wszystkim popierałem ją materialnie. Bardzo wiele osób w Polsce dawało mi mniejsze i większe sumy pieniężne do zupełnego mego rozporządzenia na cele narodowe. Ogromną większość tych pieniędzy oddawałem P. O. W. Następnie posyłałem jej instruktorów dla prowadzenia ćwiczeń i wykładów. Poza tym nie mieszałem się do jej spraw wewnętrznych, chociaż wiedziałem, że imię moje jest tam bardzo popularne i wpływ moralny duży.

Nie omyłem się, twierdząc, że ogromna większość ludzi, życzących sobie rozwoju wojska polskiego, nawet ci, co to lub owo organizacji P. O. W. mieli do zarzucenia, razem ze mną rachowała na to, że właśnie P. O. W. da początek bardziej gromadnemu napływowi ochotników do wojska. Było to tym bardziej możliwe, że organizacja była rozsiana po całym kraju, a w skład jej wchodziłi ludzie z różnych sfer, od młodzieży uniwersyteckiej do młodzieży włościańskiej, która stanowiła więcej, niż 33% całości.

Zaznaczę, że to samo sądziła o sobie i cała organizacja P. O. W. Nadzieje, rozbudzone przez akt 5-go listopada, i pewność, że młodzież będzie mogła urzeczywistnić swój ideał i złożyć hołd posłuszeństwa rządowi polskiemu, były tak wielkie, że nie znalazłem ani cienia dawnych wątpliwości, gdy po przyjeździe do Warszawy rozmawiał z poszczególnymi przedstawicielami organizacji. Wszystko oczekiwało, że Legiony będą oddane Radzie Stanu, której zadaniem będzie sformowanie rządu i w ten sposób usunięte będą te przeszkody, jakie dotąd dzieliły P. O. W. od Legionów.

Osobiście wstąpiłem do Rady Stanu, spowodowany jedynie optymistycznym przypuszczeniem co do zmian w systemie formowania wojska. Jestem więc przekonany, że wobec mojej moralnej powagi mój optymizm przerobił nadzieje młodzieży na pewność i cała praca szkolna nieledwie została zawieszona i wszystko skierowane do przygotowania organizacji do rychłego wstąpienia do wojska.

Niestety, jak wiadomo, oczekiwania te zostały zawiedzione. Sprawa cała przewlekała się z miesiąca na miesiąc, a nadzieja rozstrzygnięcia jej zgodnie z uczuciami, ożywiającymi młodzież, stopniowo znikła. Po usunięciu zaś zupełnym Rady Stanu od pracy nad formowaniem wojska i ułożeniu systemu werbunku, nie różniącego się w niczym od poprzedniego, który już przez swe dwuletnie bezskuteczne istnienie dowiódł,

że ściągnąć ochotników nie jest w stanie, byłem przekonany, że i stosunek młodzieży, zorganizowanej w P. O. W., do wojska pozostanie bez zmiany. Jak to się stało w rzeczywistości, nie wiem, gdyż do mego uwięzienia Rada Stanu nie wydała jeszcze żadnej odezwy werbunkowej.

Po tym szkicu historii organizacji P. O. W. przechodzę do samego artykułu w «Warschauer Zeitung». Przede wszystkim samo określenie Polskiej Organizacji Wojskowej. Artykuł określa ją jako «geheime polnische Heeresorganisation»¹⁾ i wyciąga z tego, naturalnie, ujemne dla organizacji i dla mnie konsekwencje. Tym czasem określenie samo jest najzupełniej niesłuszne.

Nie można organizacji nazwać tajną, gdy ta tajemnica jest tajemnicą poliszynela, gdy wszyscy o niej wiedzą i sama organizacja wcale się z swym istnieniem nie kryje. Duża część dyskusji, toczonej w sprawach wojskowych w Radzie Stanu wobec komisarzy obu państw okupacyjnych, tyczyła się P. O. W., jej usposobienia względem sprawy wojskowej i Rady Stanu, liczby członków, rodzaju ćwiczeń, jej potrzeb finansowych itp. szczegółów. Dalej ja sam miałem zaszczyt na ćwiczeniach warszawskiej organizacji widzieć, w postaci dwóch oficerów, przedstawicieli warszawskiej «Feldpolizei», którzy byli tak grzeczni, że odwieźli mnie z ćwiczeń do Warszawy swoim automobilem²⁾. Ćwiczenia tej «tajnej» organizacji nie tylko w Warszawie, ale i na prowincji odbywały się za pozwoleniem władz i mnie osobiście w Radzie Stanu nieraz przypominali pp. komisarze, bym polecał organizacjom lokalnym o takie pozwolenia się starać. W każdym razie była to oryginalna tajność. Organizacja, prawda, nie była zalegalizowaną, ale i ten grzech P. O. W. dzieliła prawie ze wszystkimi organizacjami ówczesnymi w Polsce, które szukały legalizacji swojej w Radzie Stanu.

Następnie nazwa «Heeresorganisation» — organizacja armii — jest całkiem niestosowną przesadą w stosunku do P. O. W., która zakrawa na drwiny, zresztą niesłuszne, z organizacji P. O. W. nigdy od samego początku takich wysokich aspiracji nie miała i stawiała sobie znacznie skromniejsze i rozsądniejsze cele — przygotowania swych członków do wojska, pozostawiając «organizację armii», zgodnie ze swymi zasadami, rządowi polskiemu.

¹⁾ Tajna polska organizacja wojska.

²⁾ Mowa o ćwiczeniach P. O. W. w dniu 29. IV. 1917 r. w Zielonce pod Warszawą.

Punkt pierwszy oskarżenia publicysty z «Warschauer Zeitung» składa na moją odpowiedzialność, że «stosunek P. O. W. do państw centralnych był coraz bardziej wrogim, a mowa jej organów podziemnych coraz bardziej podniecająca». Zarzut zupełnie niesłuszny i wątpliwy, by na to można było znaleźć dowody. Najpierw o «organach podziemnych». Komenda P. O. W. wydawała dwa pisma «nielegalizowane»: «Strzelec» i «Przegląd Wojskowy»¹⁾). Oba pisma nie zawierały żadnych artykułów politycznych i wypełnione były jedynie czysto fachowym materiałem. Za te pisma odpowiedzialna jest Komenda P. O. W., a ja nawet z tymi pismami, których mowy, jako «podniecające» nikt nie nazwie, nie miałem nigdy nic do czynienia. Poza tym przez niektórych członków P. O. W., niezależnie od Komendy jej, a tym bardziej ode mnie, było wydawane pismo «Rząd i Wojsko»²⁾). Nie przypominam sobie, abym w tym piśmie znalazł choć jeden artykuł zwrócony przeciwko państwom centralnym, jako takim, bo przecie żądania prędszego sformowania rządu polskiego i oddania jemu pracy nad formowaniem wojska nazwać wrogimi w stosunku do państw centralnych nie można. A do tego sprowadzała się tendencja i treść pisma. Może zresztą w tej sprawie nie jestem kompetentny ani nadwrażliwy i dlatego nie mogłem mniemanej wrogości zauważyć. W każdym jednak razie stwierdzić muszę, że zupełnie nie rozumiem, na jakiej podstawie ja mogę być odpowiedzialny za to czy inne pismo, gdy z nim, jak i w ogóle z prasą legalną czy nielegalną, żadnych stosunków nie miałem.

Punkt drugi oskarżenia czyni mnie odpowiedzialnym za wydanie instrukcji, nakazującej zaostrzoną i zupełną konspirację dla P. O. W. Zarzut akurat sprzeczny z rzeczywistością. Instrukcji takiej nie tylko nigdy nie wydawałem, lecz odwrotnie, moje nie instrukcje, lecz rady, dawane organizacji, szły akurat w przeciwnym kierunku. Chciałem, mianowicie, zalegalizować sportowe stowarzyszenia i zmienić w ten sposób P. O. W. na związek zalegalizowanych sportowych towarzystw. Liczyłem przy tym, że ta część młodzieży, której taka praca nie zadowolni, znajdzie swe ujście w rozwijającym się życiu politycznym i od pracy ściśle fachowej odpadnie. Dodam, że je-

¹⁾ «Strzelec» założony został w październiku 1916 r. i zawierał prace z dziedziny wojskowej. Ogółem wyszło 7 numerów. «Przegląd Wojskowy», założony w lipcu 1916 r., miał tak samo charakter ściśle wojskowego czasopisma. «Przeglądu Wojskowego» ukazało się 10 numerów.

²⁾ «Rząd i Wojsko», naczelnny organ Polsk. Organizacji Wojskowej, pod redakcją Adama Skwarczyńskiego, zaczął wychodzić najpierw jawnie od 29. IX. 1916 r., a potem tajnie do listopada 1918 r. W Polsce Niepodległej wychodził do r. 1921.

stem przekonany, iż reforma ta byłaby już napewno przeprowadzona, gdyby władze niemieckie w Warszawie zgodziły się na zalegalizowanie centrali w Warszawie, a nie zmuszały do żmudnego i powolnego legalizowania każdej grupki w każdym miasteczku czy wsi, osobno i niezależnie od innych ¹⁾. Co do mnie, szedłem w kierunku rozwiązania dotychczasowej P. O. W. bardzo daleko. Przypominam sobie, że nawet na posiedzeniu Komisji Wojskowej, w obecności bodaj komisarzy państw okupacyjnych, taki właśnie wniosek o rozwiązanie P. O. W. postawił. Wniosek ten przez większość Komisji nie został przyjęty.

Trzeci punkt oskarżenia publicyisty «Warschauer Zeitung» należy do tych, które dowodzą zupełnej nieznamości rzeczy autora artykułu. Wyznaję otwarcie, gdy go odczytuję, nie mogę nigdy powstrzymać się od śmiechu. Punkt ten brzmi dosłownie: «P. O. W. była na drodze, by w państwie zbudować ukryte od oczu publicznych tajne państwo z odpowiednimi organami i przez przysięgę zobowiązywała członków tego tajnego państwa do absolutnego posłuszeństwa». I, naturalnie, ja, Józef Piłsudski, za te okropności jestem odpowiedzialny. Śmiech mój z powodu tego punktu wywołany jest przez następującą okoliczność: jednym z rzeczoznawców polskich przy różnych urządach niemieckich w Warszawie był podczas mego tam pobytu niejaki Młynarski ²⁾; blisko związany z takimiż rzeczoznawcami z aparatu werbunkowego dla Legionów. Otóż ten p. Młynarski jeszcze przed wojną napisał książkę, która Polakom zalecała właśnie zbudowanie takiego tajnego państwa z «odpowiednimi organami». Te organy miały, według jego projektu, wziąć pod swą opiekę wszystkie przejawy życia społecznego, nie wyłączając, o ile sobie przypominam, regulowania stosunków pomiędzy obu płciami w celu poprawienia rasy polskiej.

Książka niezmiernie naiwna, z powodu której ongiś wśród młodzieży toczono wiele dyskusyj i wypowiedziano mnóstwo dowcipów. W tych dyskusjach byłem, naturalnie, przeciwnikiem tej dziecinnej teorii i twierdziłem zawsze, że wobec absurdalności swego założenia takie tajne państwo dla nikogo nie jest niebezpiecznym. Trzebaż więc ironii losów, że ten właśnie absurd mnie właśnie jest zarzucony i to jako punkt oskarżenia,

¹⁾ Mowa o Stowarzyszeniu sportowo-gimnastycznym «Piechur», założonym jesienią 1916 r. i współpracującym ściśle z P. O. W.

²⁾ Feliks Młynarski, ps. «Brzoza», wybitny działacz zarzewiacki, wywierający znaczny wpływ na kształtowanie się ideologii Polskich Drużyn Strzeleckich.

prowadzący do uwięzienia i stworzenia w nim dla mnie bardzo ostrych warunków. W mojej tragedii — gdyż za taką uważam ostatni rok swego życia — uważałem zawsze ten punkt jako łaskawy, chociaż zupełnie dla mnie niezrozumiały, przeblysk komedii.

Co do przysięgi, składanej jakoby na posłuszeństwo, ośmielę się zaznaczyć, że we wszystkich stadiach swej pracy, gdy byłem zupełnie samodzielnym, byłem zawsze przeciwnikiem składania przysięgi. Czy to przy organizowaniu towarzystw strzeleckich przed wojną, gdy byłem zupełnie niezależnym komendantem wolnych strzelców, czy wreszcie w swoich radach w P. O. W. — zawsze usuwałem przysięgę, a to dla następujących powodów: po pierwsze dlatego, że wiedząc z doświadczenia o konieczności życiowej odstąpienia od sakramentalnych przyrzeczeń młodości, nie chciałem nigdy wprowadzać młodzież w demoralizującą atmosferę łamania przysięgi, — następnie dlatego, że wszystkie te organizacje były dla mnie organizacjami o charakterze przejściowym, przygotowawczym do czegoś większego — mianowicie, wojska polskiego, składającego przysięgę swemu rządowi na posłuszeństwo. Wszelkie więc poprzednie przysięgi były, według mnie, niewłaściwe. W tym kierunku byłem tak konsekwentny, że nawet wyruszając na wojnę, nie żądałem od nikogo ze swych podwładnych nie tylko przysięgi, lecz nawet zwyczajnego słowa honoru, postanowiwszy sobie, że w każdej chwili uwolnię z wojska tego ochotnika, który tego zażąda, albo który okaże się niegodnym towarzystwa. I wyznam, nigdy nie miałem powodu żałować swęgo postępowania, a posłuszeństwo w stosunku do mnie i ustanowionych przeze mnie przełożonych było bez zarzutu.

Nie chcę jednak powiedzieć, że ten mój stosunek do przysięgi był podzielany powszechnie. W praktyce swojej organizacji strzelców przed wojną miałem kilka wypadków — wśród młodzieży gimnazjalnej o romantycznych głowach i wśród włościan — gdy lokalne organizacje wprowadzały u siebie przysięgę. Nie uważam więc za wykluczone — chociaż sam o tym nie wiem — że i P. O. W. w jakiejś zapadłej wsi albo wśród rozognionych gimnazjastów były składane jakieś przysięgi. Ale cóż to ma wspólnego w ogóle z P. O. W.? A tym bardziej ze mną? A już zupełnie niezrozumiały dla mnie jest związek z okropnościami «*Geheimstaates mit entsprechendem Organen*»¹⁾, których to okropności na pewno w P. O. W. nie było.

¹⁾ Tajnego państwa z odpowiednimi organami.

Nareszcie ostatni punkt oskarżenia, pod którym jako wniosek jest postawiony «so blieb schliesslich nichts anderes übrig, wie ihn (Piłsudski) mit seinen Mitschuldigen festzunehmen»¹⁾). Ten punkt stwierdza przede wszystkim, co nie jest powiedziane zresztą, lecz konsekwentnie z poprzedniego wynika, prawdopodobnie głową owego okropnego «Geheimstaates mit entsprechenden Organen». Co do ostatniego, mogę zapewnić, że ludzie w moim wieku i z moim doświadczeniem życiowym nie bawią się tak dziecinnie, a tym bardziej tak nie pracują. Oskarżenie to postawię na równi z kryminalnym oskarżeniem o fałszowanie papierów bez żadnego praktycznego celu, o co byłem oskarżony zaraz po aresztowaniu. Wreszcie dodaje, że stosunek do P. O. W. podczas mego pobytu w Warszawie nie uległ zmianie. T. zn., dawałem zależne ode mnie środki pieniężne, dawałem rady — teraz znacznie częściej, gdyż byłem na miejscu — i nie mieszałem się wcale do spraw wewnętrznych organizacji.

Następnie punkt ten oskarża mnie ni mniej, nie więcej, jak o to, że do prac swych w Radzie Stanu wziąłem jako pomocnika swego przyjaciela Sosnkowskiego, byłego pułkownika Legionów, i panów, należących do organizacji P. O. W. Pomimo, że z tego powodu zostałem «festgenommen» nie rozumiałem zgoła, o co tu właściwie chodzi. Jak to — każdego z urzędników swego biura przed przyjęciem przedstawiałem do zatwierdzenia marszałkowi Rady Stanu. O każdym z nich i pomiędzy innymi o przynależności niektórych do P. O. W. wiedziała doskonale policja niemiecka. Płk. Sosnkowski, jako mój pomocnik i zastępca, został zatwierdzony przez Radę Stanu, a przyjechał z Krakowa na tę posadę z wiedzą policji niemieckiej, która na moją prośbę wystawiła mu specjalne pozwolenie. Jako mój pomocnik zastępował mnie nieraz na posiedzeniach Komisji Wojskowej i Wydziału Wykonawczego Rady Stanu przy komisarzach obu państw centralnych. I wszystko to nie wywoływało potrzeby ratowania zagrożonych tyłów armii na froncie wschodnim. Doprawdy, jeśli za to odsiaduję w samotności już rok cały, to jako okoliczność łagodzącą można chyba przyjąć, że przez kilka długich miesięcy wszystkie władze w Warszawie były współwinnymi ze mną, łagodnie zamykając oczy na moje zbrodnie i utwierdzając mnie w naiwnym mniemaniu, że nic zbrodniczego nie popełniam.

Co się tyczy samej treści oskarżenia, żem brał do pomocy

¹⁾ Ze nie pozostało nic innego, jak uwięzienie go (Piłsudskiego) wraz z jego współwinnymi.

w pracy w Radzie Stanu ludzi, należących do P. O. W., to przede wszystkim zauważę, że nie robiłem nigdy z tego żadnego sekretu. Więcej, w podziale pracy biurowej był dział specjalny dla P. O. W., który był koniecznym przy przygotowaniu organizacji do wstąpienia do wojska i dla spraw, które się wywiązały ze stosunku tej organizacji do Rady Stanu. Wszyscy, nie wyłączając władz niemieckich, o tym wiedzieli i nie miałem z powodu tego żadnego protestu. Lecz dodam więcej, wzięcie sobie do pomocy właśnie członków P. O. W. uważałem jako swój prosty obowiązek.

Przy wstąpieniu do Rady Stanu byłem optymistycznie przeświadczony, że zasadnicze przeszkody, które hamowały dotąd rozwój ochotniczego wojska, będą usunięte. Gdybym tego przeświadczenia nie miał, gdyby mię choć słówkiem raczono uprzedzić, że system, stosowany dotąd do wojska, pozostanie bez zmiany, ani chwili bym się nie wahał zrzec się zaszczytu należenia do Rady Stanu, gdyż z góry bym wiedział, że praca moja będzie zupełnie bezskuteczna. Lecz optymistycznie wierząc w przyszłość, obowiązkiem moim było dołożyć wszelkich starań, aby werbunek, który będzie ogłoszony przez Radę Stanu, udał się jak najlepiej. Dotychczasowy system werbunkowy do Legionów dawał w przeciągu dwóch lat wyniki nikłe i stwierdził albo swoją nieumiejętność, albo niemożliwość osiągnięcia celu za pomocą swojej organizacji. Wiedziałem dalej, że w narodzie tak wrażliwym i nastrojowym, jak Polacy, bardzo dużo zależy od pierwszego kroku udanego czy nieudanego. I wobec dowiedzionej przez doświadczenie dwuletnie «nieudaności» kroków dotychczasowych naturalną rzeczą było zwrócić się do organizacji, liczącej kilkanaście tysięcy członków i od niej zażądać pomocy. Zdaniem moim, nie wypełniłbym swego zobowiązania zarówno w stosunku do Rady Stanu, jak w stosunku do państw centralnych, gdybym organizacji P. O. W. nie wykorzystał i nie brał do pomocy ludzi, mających w niej powagę i znaczenie i oswojonych z organizacją i jej życiem.

Wyczerpałem całą treść publicystycznego oskarżenia «Warschauer Zeitung». Pomiąłem nic nie mówiące publicystyczne kwiatki, jak niedopasowanie moje do Rechtsstaat'u¹⁾). Może mają one chęć urażenia mnie osobiście i polemizować z tym trudno, zresztą nie stanowią one właściwie żadnego oskarżenia. Nicość oskarżenia może nie była znana zwykle tak dobrze poinformowanym niemieckim władzom wojsko-

¹⁾ Rechtsstaat — państwo praworządne.

wym. Gdy więc zestawiam je z wyjątkowymi środkami, zastosowanymi do mnie w więzieniu, nie mogę nie przyjąć do przekonania, że nie stoją one w żadnym stosunku do publicystycznego przedstawienia moich zbrodni w nr 211 «Warschauer Zeitung».

Nie tłumaczy mi również tej wyjątkowości twierdzenie artykułu, że moje postępowanie nie daje się pogodzić z bezpieczeństwem tyłów armii, walczącej na wschodzie. Pomimo, że nie mogę tego twierdzenia zrozumieć, ani tym bardziej podzielić, mogę jednak przypuścić, że nie jestem w tej sprawie kompetentny, a może pewien hałas, czyniony koło mojej skromnej osoby, hałas z najsluszniejszymi, a często bardzo zabawnymi supozycjami, robił, że tak powiem, pewien niepokój u osób, odpowiedzialnych za to bezpieczeństwo na tyłach. Ale i tego wschodniego frontu dawno już nie ma, wojsko walczące także nie istnieje, a jednak w wyjątkowym systemie, stosowanym do mnie, zmiany nie ma, nie mówiąc już o powrocie do domu. Muszą więc tu być inne nieznanne mi przyczyny, które z artykułem w nr 21 «Warschauer Zeitung» nic wspólnego nie mają.

J. Piłsudski

Więzienie w Magdeburgu, 28 lipca 1918 r.
